

# JOSEPH CONRAD

LORD JIM, TOM  
DRUGI

Joseph Conrad  
**Lord Jim, tom drugi**

«Public Domain»

**Conrad J.**

Lord Jim, tom drugi / J. Conrad — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

Tom drugi	5
Rozdział dwudziesty pierwszy	5
Rozdział dwudziesty drugi	9
Rozdział dwudziesty trzeci	12
Rozdział dwudziesty czwarty	16
Rozdział dwudziesty piąty	19
Rozdział dwudziesty szósty	24
Конец ознакомительного фрагмента.	27

# Joseph Conrad

## Lord Jim Tom drugi

### Tom drugi

#### Rozdział dwudziesty pierwszy

Chyba żaden z was nie słyszał nigdy o Patusanie? – podjął Marlow po chwili ciszy, podczas której zapalał starannie cygaro. – Ale to wszystko jedno; mnóstwo ciał niebieskich roi się nad nami w nocy, a o wielu z nich ludzkość nigdy nie słyszała, ponieważ znajdują się one poza sferą naszej działalności i nie mają znaczenia dla nikogo prócz astronomów. Im płaci się za to, aby rozprawiali mądrze o składzie ciał niebieskich, ich wadze, ich szlakach – o nieprawidłowościach w ich zachowaniu, o aberracjach ich światła – jest to coś w rodzaju uczonych plotek. Tak było i z Patusanem. Wspominano znacząco o tym kraju na poufnych zebraniach kół rządowych w Batawii, szczególnie o jego nieprawidłowościach i aberracjach, a tylko bardzo nieliczne jednostki w świecie handlowym znały Patusan ze słyszenia. Nikt jednak tam nie był i sądzę, że nikt nie miał ochoty udać się tam osobiście; podobnie jak astronom – tak sobie to wyobrażam – opierałby się stanowczo, gdyby chciano go przenieść na jakieś odległe ciało niebieskie, gdzie byłby odcięty od swych ziemskich dochodów i czułby się oszołomiony widokiem obcego mu nieba. Lecz ani ciała niebieskie, ani astronomowie nie mają nic wspólnego z Patusanem. To Jim tam się udał. Chcę tylko, abyście jasno zrozumieli, że gdyby Stein wysłał Jima na gwiazdę piątej wielkości, zmiana warunków nie mogłaby być większa. Pozostawiwszy za sobą swe ziemskie skazy i reputację, Jim znalazł się wśród zupełnie nowych warunków, na terenie podatnym dla jego bujnej wyobraźni, na wskroś odmiennym i niezwykłym. I zawładnął nim w sposób równie niezwykły.

Człowiekiem, który wiedział o Patusanie więcej niż wszyscy inni, był Stein. Przypuszczam, że wiedział nawet więcej niż sfery rządowe. Nie wątpię, iż tam był kiedyś, w okresie polowania na motyle albo i później, gdy swoim zwyczajem niepoprawnie starał się okrasić szczyptą romantyzmu tuczące potrawy swej handlowej kuchni. Bardzo niewiele było miejscowości na archipelagu, których by Stein nie oglądał, nim jeszcze zaniesiono tam światło (i to nawet elektryczne) w imię wyższej moralności, no i większych zysków. Stein wspominał o Patusanie nazajutrz po naszej rozmowie na temat Jima, gdy przytoczyłem słowa biednego kapitana Brierly: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie”. Podniósł na mnie oczy z zajęciem i uwagą, jakbym był jakimś rzadkim owadem.

– To by także dało się zrobić – rzekł popijając kawę małymi łykami.

– Trzeba go gdzieś zagrzebać – tłumaczyłem. – Nie mam oczywiście na to ochoty, ale biorąc pod uwagę charakter Jima, będzie to chyba najlepsze wyjście.

– Tak; on jest młody – rozmyślał Stein.

– Najmłodszy ze wszystkich ludzi na świecie – potwierdziłem.

– *Schön*<sup>1</sup>. Otóż jest ten Patusan – ciągnął nie zmieniając tonu. – A tamta kobieta już nie żyje – dodał zagadkowo.

Nie znałem oczywiście historii owej kobiety, domyślając się tylko, że Patusan służył już za grób dla jakiegoś grzechu, wykroczenia czy też nieszczęścia. Niepodobna tu podejrzewać Steina. Jedyłą kobietą, jaka kiedykolwiek dla niego istniała, była młoda Malajka, zwana przez niego: „księżniczką, moją żoną”, albo rzadziej, w chwilach wywnętrzeń: „matką mojej Emmy”. Kim była

---

<sup>1</sup> *schön* (niem.) – ładnie; pot.: no dobrze. [przypis edytorski]

tamta kobieta, o której Stein wspominał związku z Patusanem, tego nie umiem powiedzieć; z jego aluzji zrozumiałem, że musiała to być na wpół Holenderka, na wpół Malajka, wykształcona i bardzo ładna, o tragicznej, a może tylko żalostnej historii; najboleśniejszym faktem z jej życia stało się bez wątpienia małżeństwo z pewnym Portugalczykiem z Malakki, urzędnikiem jakiejś firmy handlowej w koloniach holenderskich. Wywnioskowałem ze słów Steina, że ów człowiek był, z niezupełnie jasnych przyczyn, osobistością nieszczególną i odpychającą. Jedyne przez wzgląd na jego żonę Stein mianował go dyrektorem stacji handlowej w Patusanie pod firmą Stein i S-ka; z kupieckiego punktu widzenia nominacja ta nie okazała się jednak korzystna, przynajmniej jeśli chodzi o firmę, toteż po śmierci owej kobiety Stein był skłonny osadzić tam na próbę nowego agenta. Portugalczyk, o którym mowa, nazwiskiem Cornelius, uważał się za jednostkę wybitną, lecz zapoznaną, zasługującą dzięki swym zdolnościom na lepsze stanowisko. Tego człowieka miał zastąpić Jim.

– Nie myślę jednak, aby Cornelius stamtąd się wyniósł – zauważył Stein. – To mnie zresztą nic nie obchodzi. Osadziłem go tam jedynie ze względu na tę kobietę... Ale zdaje mi się, że została po niej córka; więc jeśli Cornelius będzie chciał zostać, pozwolę mu zamieszkać w starym domu.

Patusan jest dalekim okręgiem państwa rządzonego przez krajowców; główna jego osada nosi tę samą nazwę. Z punktu na rzece odległego o jakieś czterdzieści mil od morza widać pierwsze domy Patusanu, a jednocześnie ukazują się nad poziomem lasów szczyty dwóch stromych wzgórz stojących bardzo blisko siebie i przedzielonych głęboką rozpadliną, powstałą jakby wskutek potężnego uderzenia. Dolina między tymi wzgórzami jest właściwie tylko wąskim wąwozem; gdy się patrzy z osady, oba pagórki wyglądają jak niesymetryczny stożek rozłupany na dwoje, o leciutko rozchylonych połowach. Trzeciego dnia po pełni spoglądałem na księżyc z otwartego dziedzińca przed domem Jima (kiedy go odwiedziłem, Jim miał już bardzo ładny dom zbudowany na wzór krajowych); otóż księżyc wstawał właśnie za owymi wzgórzami; na tle jego rozproszonego blasku obie sylwety pagórków zarysowały się najpierw głęboką czernią, a potem na dnie rozpadliny ukazała się prawie zupełnie okrągła tarcza rozjarzona do czerwoności i sunęła w górę między ścianami, aż wreszcie wypłynęła nad szczyty, jakby uchodząc z rozwartego grobu w cichym tryumfie.

– Wspaniałe – rzekł Jim u mego boku. – Czy nie warto tego zobaczyć?

Uśmiechnąłem się na to pytanie pełne osobistej dumy; można było pomyśleć, że to Jim brał udział w urzędzeniu tego widowiska, jedyne w swoim rodzaju. Miał wpływ na tyle spraw w Patusanie! Spraw, które znajdowały się – rzekłbyś – tak dalece poza zasięgiem jego działalności jak ruchy gwiazd i księżyca.

Było to niepojęte, a jednak stanowiło właśnie odrębność roli, którą obaj ze Steinem narzuciliśmy niechcący Jimowi w tym jedynym celu, aby usunąć go z drogi, rozumie się, jego własnej. Zmierzaaliśmy przede wszystkim do tego, choć przyznaję, może istniała jeszcze inna przyczyna, która na mnie trochę wpłynęła. Miałem właśnie wrócić na pewien czas do Anglii i kto wie, czy nie pragnąłem, raczej podświadomie, osadzić, gdzieś Jima, rozumiecie? osadzić go gdzieś przed wyjazdem. Wracalem do kraju, a on właśnie stamtąd do mnie przybył ze swą nieszczęsną zgryzotą i niejasnymi uroszczeniami, jak człowiek dyszący pod ciężarem, który go przywalił wśród mgły. Nie mogę powiedzieć, abym go kiedykolwiek widział wyraźnie, nawet i dzisiaj, po naszym ostatnim spotkaniu; ale zdawało mi się, że im mniej go rozumiem, tym bardziej czuję się z nim związany w imię tych wątpliwości, które stanowią nierozłączną część ludzkiego poznania. O samym sobie wiedziałem niewiele więcej, a przy tym, powtarzam, wracałem do kraju, do tego kraju tak odległego, że wszystkie jego domowe ogniska zlały mi się w jedno ognisko, u którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść. Tysiące nas wędrują po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół, tych, którym jesteśmy winni posłuszeństwo, i tych, których kochamy. Lecz nawet ludzie nie mający ani jednych, ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków, nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy, muszą

się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno jest pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach – z niemym przyjacielem, sędzią, i natchnionym doradcą. Mówcie sobie, co chcecie, lecz jeśli pragniemy w swym kraju zaznać radości, odetchnąć jego spokojem i spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem. Może to wszystko wyda się wam po prostu sentymentalizmem; ale naprawdę bardzo niewielu z nas czuje ochotę lub też posiada umiejętność świadomego spojrzenia w głąb znanych nam wzruszeń. Zaprzatają nas kobiety, które kochamy, mężczyźni, których szanujemy, tkliwość, przyjaźń, różne szczęśliwe sposobności, rozrywki! Ale faktem jest niezaprzeczoną, że nagrody swej trzeba dotknąć czystymi rękoma, aby nie obróciła się w zeszlęte liście i ciernie. Zdaje mi się, że ludzie zupełnie samotni, ci, co nie mają ani własnego ogniska, ani przywiązania bliskiej istoty, którzy powracają nie do domu, ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem, że oni właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę i łaskę, która jest jego przedwieczne prawo do naszej wierności i do naszego posłuszeństwa. Tak! Niewielu z nas to rozumie ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku, albowiem ci, którzy tego nie czują, wcale się nie liczą. Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi skąd czerpie życie i siłę; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wspólną z życiem. Nie wiem, jak dalece Jim to rozumiał, ale wiem, że czuł, czuł bezładnie, lecz dojmująco wymagania tej prawdy czy tego złudzenia, wszystko mi jedno, jak to nazwiecie, tak drobna jest między tym różnica i tak małą ma wagę. Cała rzecz w tym, że właśnie z powodu owych uczuć Jim wchodził tutaj w rachubę. Powiedział, że nigdy już do kraju nie wróci. Nigdy! Gdyby był zdolny do malowniczego okazywania swych uczuć ujrzelibyście, jak jest wstrząśnięty – i wami by też wstrząsnęło. Ale nie należał do ludzi tego pokroju, choć po swojemu umiał wcale dobrze wyrazić, co czuje. Na myśl o powrocie do kraju kostniał w rozpaczliwym bezruchu, z głową opuszczoną na piersi i bolesnym grymasem na ustach; jego niewinne błękitne oczy jarzyły się ciemnym blaskiem pod ściągniętymi brwiami, jak wobec czegoś oburzającego, czego niepodobna znieść. Miał dużo wyobraźni pod tym swoim twardym czerepem, okrytym gęstymi, wijącymi się włosami niby czapką. Jeśli chodzi o mnie, który wyobraźni nie posiadam (gdybym ją miał, wiedziałbym dziś więcej o Jimie), nie chcę dać wam do zrozumienia, iż spodziewałem się ujrzeć ducha Anglii unoszącego się nad białymi skałami Dover i usłyszeć, jak mnie zapyta, wracającego, że tak powiem, z całym kościem, co uczyniłem z moim młodszym bratem? Tak dalece mylić się nie mogłem. Wiedziałem dobrze, że Jim należy do tych, o których się nikt nie zatroszczy; widziałem, jak ludzie bardziej od niego wartościowi znikali, przepadali na zawsze, nie wywołując żadnego odruchu ciekawości lub smutku. Duch kraju, jak przystoi kierownikowi wielkich przedsiębiorstw, nie dba o jednostki. Biada maruderom! Istniejemy tylko póty, póki trzymamy się razem. A Jim się w pewien sposób zawieruszył; nie umiał dotrzymać kroku. Lecz zdawał sobie z tego sprawę tak głęboko, że to chwytalo za serce. To owa zdolność w ludziach do siły czucia sprawia, że śmierć człowieka bardziej nas wzrusza niż śmierć drzewa. Tak się złożyło, że znalazłem się na drodze Jima i że jego los mnie wzruszył. To wszystko. Niepokoiło mię, jak się Jim z tego wyplące. Bolałoby mię, gdyby na przykład zaczął pić. Ziemia jest taka mała, że lękałem się, aby nie zaczepił mnie kiedyś utyflany włóczęga o niepewnym spojrzeniu i zapuchniętej twarzy, w płóciennych trzewikach bez podeszew, z łachmanami powiewającymi naokoło łokci, i aby mnie nie poprosił, na podstawie dawnej znajomości, o pożyczanie pięciu dolarów. Znaćcie przecież okropny, bezceremonialny sposób bycia tych straszdeł, przychodzących do nas ze swojej przyzwoitej przeszłości, chrapliwy, niedbały ich głos, bezczelny wzrok unikający naszych oczu; takie spotkania cięższe są dla człowieka wierzącego w solidarność obowiązującą nas w życiu niż dla księdza widok grzesznika, który się nie kaja na łożu śmierci. Jeżeli mam powiedzieć prawdę, było to jedyne niebezpieczeństwo, jakiego się obawiałem i dla Jima, i dla siebie; ale może tu gra rolę mój brak wyobraźni, bo przecież mogło dojść do jeszcze gorszych rzeczy, których nie byłem w stanie przewidzieć. Jim nie pozwalał mi zapomnieć, jak bujną ma fantazję, a tacy ludzie zapędzają się dalej od innych, w jakimkolwiek idą kierunku, jakby tkwili u końca dłuższej liny na niepewnym kotwowisku życia. Tak właśnie bywa. A często się rozpijają. Może

to moje przewidywania krzywdziły Jima. Któż by to mógł powiedzieć? Nawet Stein zdobył się tylko na orzeczenie, że Jim jest romantykiem. Na jakiej podstawie? Ja wiedziałem tylko, iż jest jednym z nas. Opowiadam wam tyle o swych własnych instynktownych uczuciach i mętnych rozmyślaniach, ponieważ o Jimie tak mało mi już pozostaje do powiedzenia. Jim istniał dla mnie, a przecież dla was on tylko przeze mnie istnieje. Wziąłem go za rękę, przyprowadziłem i przedstawiłem go wam uroczyście. A czy wszystkie moje przyziemne obawy były uzasadnione? Nie chcę tego przesądzać, nawet dziś jeszcze. To wy raczej powinniście to wiedzieć, ponieważ przysłowie mówi, że kibice najlepiej się w grze orientują. Obawy moje okazały się płonne. Jim nie załamał się bynajmniej; przeciwnie, radził sobie wspaniale, szedł naprzód prosto jak strzała, i to w doskonałej formie, co dowodziło, że potrafi się zdobyć zarówno na wytrwałość, jak i na nagły wysiłek. Powinienem być uszczęśliwiony, bo w tym zwycięstwie i ja odegrałem swą rolę; ale nie jestem z tego tak rad, jakbym się mógł spodziewać. Zapytuję siebie, czy rozmach Jima pomógł mu wydostać się z owej mgły, w której majaczyła jego postać o płynnych konturach – niezbyt wielka, ale interesująca – postać marudera tęskniącego bez ustanku za swym utraconym skromnym miejscem w szeregach. Zresztą ostatnie słowo jeszcze nie zostało wyrzeczone i prawdopodobnie nigdy wyrzeczone nie będzie. Może ludzkie życie trwa zbyt krótko, abyśmy mogli wypowiedzieć się w całej pełni, choć oczywiście to jest jedyny cel, który stale przyświeca ludziom podczas ich nieudolnego bełkotu. Przestałem już wyczekiwać tych ostatecznych słów, których dźwięk, gdyby go można było zdobyć, wstrząsnąłby niebem i ziemią. Nie starczy nam nigdy czasu na wypowiedzenie ostatniego słowa, słowa naszej miłości, naszych pragnień, wiary, wyrzutów sumienia, poddania się, buntu. Nie należy wstrząsać niebem i ziemią. W każdym razie nie jest to dozwolone nam, którym się zdaje, że tyle prawd wiemy o niebie i o ziemi. Moje ostatnie słowa o Jimie będą krótkie. Twierdzą, że osiągnął wielkość; ale wielkie sprawy w opowiadaniu maleją, a raczej ludzie skłonni są pomniejszać je słuchając. Mówiąc szczerze, ja nie dowierzam waszym duszom, a nie moim słowom. Potrafiłbym się zdobyć na wymowę, gdybym się nie obawiał, że głodziliście swą wyobraźnię, aby sycić ciało. Nie chciałbym was urazić; nie mieć złudzeń jest rzeczą godną szacunku, bezpieczną, korzystną i nudną. Ale i wy także musieliście kiedyś zaznać tej pełni życia, owego blasku czczej świetności, która wzniecana bywa starciem się błahostek. Blask ten jest równie zdumiewający jak żar iskier wydartych zimnemu gładzowi – i równie krótkotrwały, niestety!

## Rozdział dwudziesty drugi

Zdobycie miłości, honoru, ludzkiego zaufania, a stąd rosnąca duma i siła są tematem do bohaterskiej opowieści; ale na ludzkie umysły najbardziej oddziaływa strona zewnętrzna każdego powodzenia, a w powodzeniu Jima wcale strony tej nie było. Trzydzieści mil lasu odcinało jego tryumf od oczu obojętnego świata, a szum białej piany wzdłuż wybrzeża tłumił głos sławy. Rzeka cywilizacji rozdwaja się, jakby napotkała przeszkodę sto mil na północ od Patusanu; rozgałęzia się na wschód i południo-wschód, odcinając i pozostawiając w zaniechaniu równiny i wąwozy tego kraju, jego stare drzewa i starą ludność – niby nieznaczną, kruszącą się wysepkę między dwojgiem ramion potężnego, zachłannego strumienia. Stare opisy podróży wymieniają Patusan dość często. W siedemnastym wieku kupcy udawali się tam po pieprz, gdyż namiętność do pieprzu zdawała się gorzeć jak miłosny płomień w piersi angielskich i holenderskich podróżników z czasów Jakuba Pierwszego. Dokąd oni się nie zapuszczali po ten pieprz! Dla worka pieprzu byłiby bez najmniejszego wahania poderżnęli sobie nawzajem gardła i zaparli się własnych dusz, o które skądinąd dbali tak bardzo; dziwaczna uporczywość tego pragnienia zmuszała ich do wyzywania śmierci pod tysiącnymi postaciami: nieznanymi mórz, wstrętnych i dziwacznych chorób, ran, niewoli, głodu, zarazy i rozpacz. Dalibóg, że ci ludzie stawali się wielcy! Stawali się bohaterscy! A nawet i wzruszający w swej żądzy handlu strzeżonego przez nieugiętą śmierć, pobierającą myto od młodych i starych. Wydaje się nie do wiary, aby zwykła chciwość mogła wzbudzić tak nieustępliwe dążenie do celu, taką ślepą zawziętość w wysiłkach i poświęceniu. Zaiste, ci, którzy wystawiali na sztych swe zdrowie i życie, ryzykowali wszystko, co mieli, w zamian za bardzo nikłą nagrodę. Zostawiali swe kości bielejące po dalekich wybrzeżach, aby utorować drogę bogactwu płynącemu do kraju – dla żywych. Nam, ich lżej doświadczanym następcom, ukazują się wyolbrzymieni; nie widzimy w nich agentów handlowych, lecz narzędzia przeznaczenia; parli w nieznanne, gnani nurtującym ich wewnętrznym głosem, porywem tętniącym we krwi, marzeniem o przyszłości. Byli nadzwyczajni i trzeba przyznać, że byli gotowi na wszystko, co nadzwyczajne. Podkreślali to z upodobaniem, opisując swoje cierpienia, wygląd mórz, obyczaje obcych ludów i chwałę wspaniałych władców.

W Patusanie znaleźli mnóstwo pieprzu i byli pod wrażeniem chwały i mądrości panującego tam sułtana; lecz jak się zdaje, po stuleciu zmiennych stosunków handel zaczyna stopniowo coraz bardziej w owym kraju słabnąć. Może pieprz się wyczerpał. Tak czy inaczej, nikt już się teraz Patusanem nie interesuje; wspaniałość znikła z dworu władcy, a sułtanem jest młody półgłówek o dwóch wielkich palcach u lewej ręki i marnym, niepewnym dochodzie, wyciskanym z nędznej ludności i kradzionym przez licznych wujów.

Tego dowiedziałem się naturalnie od Steina. Powiedział mi, jak się ci wujowie nazywają, i dał krótki opis życia i charakteru każdego z nich. Stein był naszpikowany wiadomościami o państwach tuziemczych jak urzędowy raport, tylko że jego informacje były daleko bardziej zajmujące. **Musiał** wiedzieć o wszystkim. Prowadził tak rozległy handel, a w niektórych obwodach, jak na przykład w Patusanie, tylko jego firma miała agencję za specjalnym pozwoleniem władz holenderskich. Rząd ufał jego dyskrecji, z układu zaś wynikało, że Stein ponosi całe ryzyko przedsięwzięcia. Ludzie, których tam obsadzał, zdawali sobie również z tego sprawę, ale widać Stein wynagradzał ich tak hojnie, że im się to opłacało. Rozmawiał ze mną zupełnie otwarcie przy rannym śniadaniu. Według jego wiadomości (ostatnie datowały się sprzed trzynastu miesięcy, jak to stwierdził z całą dokładnością), zwykłym stanem rzeczy w Patusanie była absolutna niepewność życia i mienia. Działy tam wrogie sobie siły, a jedną z nich był radża Allang, sprawujący władzę nad rzeką, najgorszy z wujów sułtana. Dopuszczał się na ludności zdzierstw, kradzieży i tak ciemnił krajowców, jakby ich chciał wytępić, ci zaś byli zupełnie bezbronni i nie mogli nawet szukać ucieczki w emigrowaniu, bo jak zauważył Stein, „dokądby się udali i jakby się mogli z Patusanu wydostać?”. Z pewnością nawet nie pragnęli uciec. Świat (który jest otoczony wyniosłymi, nieprzebytymi górami) został oddany w ręce wysoko

urodzonych; swojego radzę znali, pochodził z ich własnego królewskiego rodu. Miałem sposobność spotkać się później z tym dżentelmenem. Był to brudny, niski, zużyty starzec o złych oczach i ustach zdradzających słabość charakteru; co dwie godziny łykał pigułkę opium i wbrew podstawowym zasadom przyzwoitości chodził z odkrytą głową, przy czym włosy spadały mu w rozkudłanych strąkach na brudną, wyschniętą twarz. Udzielając audiencji, wdrapywał się na coś w rodzaju wąskiej estrady, która znajdowała się w hali przypominającej zniszczoną stodołę; przez szpary w zbutwiałej bambusowej podłodze można było dostrzec, dwanaście czy piętnaście stóp poniżej, kupy śmieci i wszelkich odpadków leżące pod domem. Wśród takich to okoliczności przyjął mię radża, gdy w towarzystwie Jima złożyłem mu ceremonialną wizytę. Około czterdziestu osób było w sali przyjęć i ze trzy razy więcej w dole na wielkim dziedzińcu. Podczas audiencji panował ciągły ruch, ludzie wchodzili i wychodzili popychając się i szepcząc za naszymi plecami. Kilku młodzieńców w jasnych jedwabiach gapiło się na nas z daleka; większość obecnych, niewolnicy i pośledniejsi dworzanie, była na wpół nago, w podartych sarongach, ubrudzona popiołem i błotem. Nie widziałem nigdy Jima wyglądającego tak poważnie, był bardzo opanowany; wyglądał tajemniczo i imponująco. Pośród tych wszystkich ciemnocich ludzi jego biało odziana krzepka postać i połyskliwe fale jasnych włosów zdawały się pochłaniać cały blask słońca, który się sączył przez szczeliny i zamknięte okiennice tej mrocznej hali o ścianach z mat i dachu pokrytym strzechą. Jim wydał mi się stworzeniem nie tylko innego rodzaju, ale wprost z innej gliny. Gdyby ci ludzie nie wiedzieli, że przyjechał czółnem, mogliby pomyśleć, iż zstąpił do nich z chmur. A tymczasem przybył w popękany czółenku, siedząc na blaszanej skrzynce, którą mu pożyczyłem; nogi miał ściśnięte i siedział prawie bez ruchu, aby czółna nie wywrócić, a na jego kolanach leżał rewolwer systemu używanego w marynarce (dostał go ode mnie przed wyjazdem). Czy to wskutek rządzenia Opatrzności, czy jakiejś upartej myśli, co zupełnie na Jima patrzyło, czy po prostu wskutek instynktownej roztropności Jim postanowił rewolweru nie nabijać. Tak oto jechał w górę rzeki do Patusanu. Trudno o coś bardziej prozaicznego i niebezpiecznego od tej przeprawy, tak szalonej a tak samotnej. Dziwny jest fatalizm, który nadawał wszystkim czynom Jima charakter ucieczki, dezercji dokonanej pod wpływem nieobliczalnego porywu, skoku w nieznanne.

Co mię najbardziej w tym wszystkim uderza, to właśnie przypadkowość. Kiedy, obaj ze Steinem – mówiąc w przenośni – unieśliśmy Jima i przrzuciliśmy go przez mur bez wielkich ceremonii, żaden z nas nie miał wyraźnego pojęcia, co się może znajdować po tamtej stronie. Pragnąłem wówczas tylko doprowadzić do zniknięcia Jima. Charakterystyczne jest, że Steinem powodowały motywy natury uczuciowej. Powziął myśl, aby spłacić (sądzę, że w naturze) pewien stary dług – o którym nie zapomniał. Przez całe życie okazywał istotnie szczególną serdeczność wszystkim, którzy pochodzili z wysp brytyjskich. Wprawdzie nieżyjący już dobroczyńca Steina był Szkotem, i to do tego stopnia, że się nazywał Aleksander Mac Neil, Jim zaś pochodził z okolic leżących dobry szmat na południe od Szkocji, lecz z odległości sześciu czy siedmiu tysięcy mil Wielka Brytania, choć bynajmniej nie pomniejszona, ukazuje się nawet własnym dzieciom w znacznym skrócie, odejmującym wagę podobnym szczegółom. Można to Steinowi wybaczyć; jego zamiary, o których mi napomykał, były tak hojne, iż prosiłem go z całą powagą, aby do czasu zachował je w tajemnicy. Czuję, że względy osobistej korzyści nie powinny oddziaływać na Jima, że nie należy go nawet narażać na ryzyko takiego wpływu. Mieliśmy przed sobą rzeczywistość innego rodzaju. Jim potrzebował schronienia; to schronienie, okupione niebezpieczeństwem, należało mu umożliwić – i nic poza tym.

Pod wszystkimi innymi względami byłem z Jimem zupełnie otwarty, a nawet (jak mi się wówczas zdawało) przesadzałem wobec niego groźne warunki przedsięwzięcia. W istocie zaś nie byłem w całej pełni świadomy niebezpieczeństw, jakie go czekały; pierwszy dzień jego pobytu w Patusanie ledwie że się nie stał ostatnim, co byłoby nastąpiło, gdyby Jim zachował się mniej lekkomyślnie lub też mniej twardo względem samego siebie: gdyby był zechciał łaskawie nabić rewolwer. Pamiętam, że kiedy rozwijałem przed Jimem nasze szacowne plany, dążące do tego,

aby mu zapewnić schronienie, jego uparta, lecz znużona rezygnacja przemieniała się stopniowo w zdumienie, zainteresowanie, podziw i wreszcie zapal chłopięcy. To była właśnie owa sposobność, o której marzył. I nie miał pojęcia, czym sobie na to zasłużył, abym ja... Niech go licho, jeśli rozumie, czemu zawdzięcza... I to właśnie Stein, kupiec Stein, który... ale to naturalnie tylko dzięki mnie... Przerwałem mu. Nie umiał się wypowiedzieć, a jego wdzięczność sprawiała mi niezrozumiały ból. Oświadczyłem, że jeśli istotnie zawdzięcza komuś tę szczęśliwą okazję, to wyłącznie staremu Szkotowi, o którym nigdy nie słyszał i który umarł przed wielu laty; niewiele wspomnień po nim zostało, pamiętano tylko jego stentorowy głos i pewnego rodzaju szorstką uczciwość. Poza Mac Neilem nie było nikogo, komu by się należały podziękowania Jima. Stein zwracał młodemu człowiekowi pomoc, którą sam otrzymał za swoich młodych lat, a co do mnie, to ja tylko wymieniłem jego nazwisko. Jim się na to zaczerwienił i miętosząc w palcach skrawek papieru zauważył nieśmiało, że ja mu przecież zawsze ufałem.

Powiedziałem, że tak jest w istocie, i po chwili milczenia dodałem, że pragnąłbym, aby brał ze mnie przykład i ufał samemu sobie.

– A pan myśli, że ja tego nie robię? – zapytał niespokojnie i dokończył szeptem, że przede wszystkim trzeba mieć jakąś sposobność, aby się móc czymkolwiek wykazać. Wkrótce twarz jego się rozjaśniła i oświadczył głośno, iż nie da mi okazji do żalowania pokładanej w nim ufności, która... której...

– Niechże pan mnie zrozumie – przerwałem. – Nie w pana mocy jest sprawić, abym ja czegokolwiek żałował. Wszelkie żale z mej strony są wykluczone, a jeśli do tego doszło, tylko mnie samego by to obchodziło. – Oświadczyłem poza tym, iż chcę, aby zrozumiał, że ten układ, że ten... ten – eksperyment jest jego własną sprawą; jedynie on zań odpowiada i nikt więcej.

– Ale przecież... przecież – wyjąkał – to jest właśnie to, o co mi... – Poprosiłem go, żeby nie był głupi, na co zrobił minę bardziej zdziwioną niż kiedykolwiek; dodałem, iż jest na najlepszej drodze do tego, aby sobie zupełnie życie uniemożliwić... Zmieszał się i zapytał:

– Czy pan tak naprawdę myśli? – a po chwili dodał z ufnością: – Ale przecież nie dawałem się, co?

Niepodobna było się gniewać na niego; nie mogłem powstrzymać śmiechu i rzekłem, iż w dawnych czasach ludzie postępujący tak jak on kończyli na tym, że zostawali pustelnikami na puszczy.

– Do licha z pustelnikami! – zawołał Jim z porywcznością pełną wdzięku. Natomiast, oczywiście, nie miał nic przeciw puszczy.

– Bardzo się z tego cieszę – odrzekłem i oświadczyłem mu, że tam właśnie ma się udać; mogłem go zapewnić, iż w puszczy będzie prowadził życie bardzo ożywione.

– Tak, tak – rzekł z entuzjazmem. Przypomniałem mu, że przecież pragnął się usunąć i zatrzaskać drzwi za sobą... – Pragnąłem się usunąć? – przerwał mi i dziwnie sposepniał, jakby cień przelotnej chmury ogarnął go nagle od stóp do głów. Ileż on miał jednak wyrazu! – Usunąć się? – powtórzył z goryczą. – Nie powie pan chyba, że o to zrobiłem gwałt. I do licha! potrafiłbym dalej tak żyć, ale pan pokazuje mi wyjście.

– Tak jest, a zatem w drogę! – odrzekłem. Mogłem przyrzec mu oczywiście, że podwoje zatrzasną się za nim na amen. Jego los, jakimkolwiek będzie, pozostanie nieznanym, ponieważ mimo rozprzeżenia panującego w Patusanie uważają ten kraj za niedojrzały do interwencji. Z chwilą kiedy Jim tam się znajdzie, wszyscy zapomną o nim tak zupełnie, jak gdyby nigdy nie istniał. Będzie musiał polegać wyłącznie na samym sobie, a przede wszystkim stworzyć sobie grunt pod nogami.

– Tak jakbym nigdy nie istniał... Na miły Bóg, o to właśnie mi chodzi! – szepnął do siebie. Jego oczy, wpatrzone we mnie, błyszczały. Rzekłem w końcu, że jeśli zrozumiał dokładnie okoliczności tej sprawy, niech skoczy w pierwszy lepszy powozik i pojedzie do Steina po ostatnie wskazówki. Wypadł z pokoju, nim jeszcze skończyłem mówić.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Wrócił dopiero nazajutrz. Zatrzymano go na obiedzie i na noc. Oświadczył, że pan Stein jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Jim miał w kieszeni list do Corneliusa („To ten facet, którego trzeba będzie wysiudać” – objaśnił, przy czym uniesienie jego na chwilę przygasło) i pokazał mi z radością srebrny pierścień, taki, jakich używają krajowcy, bardzo wytarty, z nikłymi śladami rytowanych ozdób.

Ów pierścień miał służyć za list rekomendacyjny do pewnego staruszka imieniem Doramin, jednego z najpoważniejszych ludzi w Patusanie, wielkiej figury; pan Stein przyjaźnił się z nim tam, gdzie go spotkały te wszystkie przygody. Pan Stein nazywa Doramina „kolegą z pola bitwy”. To ładnie powiedziane, prawda? Czy nie świetnie mówi pan Stein po angielsku? Powiedział, że nauczył się angielskiego na Celebesie, to nie do uwierzenia! Strasznie zabawne, prawda? Pan Stein mówi z takim jakimś akcentem, jakby przez nos, czy zauważyłem? Właśnie ten stary Doramin dał pierścień panu Steinowi. Zamienili dary żegnając się po raz ostatni. Była to jak gdyby obietnica wiecznej przyjaźni. Jim uważa, że to jest piękne, czy nieprawda? Obaj razem musieli się ratować ucieczką, kiedy ten Mohammed... Mohammed... jak on się tam nazywał, został zabity. Muszę naturalnie znać tę historię. To było doprawdy haniebne, co?

Plół tak bez końca, zapominając o jedzeniu (zastał mię przy śniadaniu), z nożem i widelcem w ręku, lekkimi rumieńcami na policzkach i znacznie pociemniałymi oczyma, co było u niego zawsze oznaką podniecenia. Ten pierścień jest czymś w rodzaju listu wierzitelnego („Zupełnie, jakby się czytało o tym w książkach” – wtrącił z uznaniem) i Doramin zrobi dla Jima wszystko, co tylko będzie mógł. Pan Stein ocalił życie temu Malajowi przy jakiejś sposobności, był to zwykły przypadek, według słów pana Steina, ale on, Jim, ma o tym własne zdanie. Pan Stein to jest właśnie ten rodzaj człowieka, który czyha na takie przypadki. Ale mniejsza z tym. Czy to był przypadek, czy nie, w każdym razie okoliczność ta ogromnie się Jimowi przysłuży. Tylko daj Boże, aby poczciwy staruszek nie przespacerował się tymczasem na tamten świat! Pan Stein nie umiał nic o tym powiedzieć. Już przeszło rok nie było stamtąd żadnych wiadomości; taroszą się tam wciąż nie na żarty, a rzeka jest niedostępna. To doprawdy bardzo niewygodne; ale nie ma strachu, już on, Jim, potrafi wśliznąć się tam przez jakąś szparkę.

Jego radosna gadatliwość zrobiła na mnie przykre wrażenie, prawie mię przestraszyła. Paplał jak wyrostek w przeddzień wakacji, po których się spodziewa rozkosznych przygód; a taki stan ducha u dorosłego człowieka wśród podobnych okoliczności miał w sobie coś osobliwego; sprawiało to wrażenie, że Jim jest nerwowy, że tkwi w tym jakieś niebezpieczeństwo. Chciałem go właśnie zakłąć, aby się odniósł poważnie do rzeczy, gdy nagle położył nóż i widelec (zaczął właśnie jeść, a raczej jakby nieświadomie połykać jedzenie) i jał czegoś szukać naokoło swego talerza. Pierścień! pierścień! Gdzież, u diabła... Aha! jest. Zamknął go w swej pokaźnej dłoni i zaczął po kolei chować go do wszystkich kieszeni. Na Boga! żeby go tylko nie zgubić. Zamyślił się poważnie. Aha! zawiesi go sobie na szyi. I zabrał się do tego natychmiast, wyciągnąwszy z kieszeni sznurek wyglądający na kawał bawełnianego sznurowadła. O tak. W porządku. To by dopiero był kawał, gdyby... Dostrzegł jakby po raz pierwszy moją twarz i to go trochę uspokoiło. Oświadczył z naiwną powagą, że prawdopodobnie nie zdaję sobie sprawy, jaką on wielką wagę przywiązuje do tego symbolu. Przecież to zadatek przyjaźni; a dobra to rzecz mieć przyjaciela. On coś wie o tym. Skinął ku mnie wyraziście głową, a gdy uczyniłem gest, jakbym się do niczego nie przyznawał, oparł głowę na rękę i siedział tak przez chwilę, milcząc i bawiąc się w zamyśleniu okruszynami chleba na obrusie.

– Zatrzasnąć drzwi za sobą – to świetnie powiedziane – zawołał; zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, przypominając mi zarysem ramion, sposobem trzymania głowy, porywczym, nierównym krokiem ową noc, gdy tak chodził spowiadając się, tłumacząc, czy jak tam chcecie, a przede wszystkim żyjąc, żyjąc przed moimi oczami w cieniu swej hańby i wysilając całą swą podświadomą

chytrość, która umiała wysnuć pociechę z samego źródła zgryzoty. Taki sam duch ożywił go dzisiaj, taki sam, a zarazem inny, niby płochy towarzysz, który dziś prowadzi po właściwej ścieżce, a jutro, tym samym krokiem, z tym samym wyrazem oczu, z tym samym impetem, powiedzie na beznadziejne manowce. Krok Jima był pewny, a jego błędzące pociemniałe oczy przebiegały pokój jakby czegoś szukając. Stąpienie jednej z jego nóg rozlegało się głośniejsz, z pewnością wskutek jakiejś wady w obuwiu, co robiło dziwne wrażenie, jakby kulał niewidocznie. Wepchnął rękę głęboko w kieszeń spodni, drugą zaś machnął nagle nad głową:

– Zatrzasnąć drzwi! – krzyknął. – Na to właśnie czekałem. Ja jeszcze pokażę... Ja... Jestem gotów na każdą, psiakrew, awanturę... Marzyłem o tym... Miły Boże! Wydostać się stąd. Miły Boże... To jest nareszcie sposobność... Niech pan tylko poczeka! Ja jeszcze...

Potrząsnął głową nieustraszenie; wyznaję, iż po raz pierwszy i ostatni w ciągu naszej znajomości spostrzegłem niespodzianie, że mam już Jima dosyć. Po co ta pusta gadanina? Rozbijał się po pokoju wywijając idiotycznie ręką, a od czasu do czasu chwycił się za pierś szukając pod ubraniem pierścionka. To uniesienie nie miało najmniejszego sensu u człowieka, który zamierzał objąć posadę agenta handlowego, i to w miejscowości, gdzie wcale handlu nie było. Po co rzucać wyzwanie całemu światu? Powiedziałem mu, że taki stan ducha nie jest odpowiedni w chwili, gdy się człowiek podejmuje jakiegokolwiek zadania, i że to, co mówię, odnosi się nie tylko do niego, ale do wszystkich. Stał nade mną bez ruchu.

– Tak pan uważa? – zapytał, bynajmniej nie zbity z tropu, z uśmiechem, w którym spostrzegłem nagle coś na kształt zuchwalstwa. Ale ja przecież byłem starszy od niego o lat dwadzieścia. Młodość **jest** zuchwałą; to jej prawo, to jest nieuniknione; młodość powinna okazywać, że jest pewna siebie. A na tym świecie pełnym zwątpienia każde zaznaczenie swej pewności jest zuchwałością, jest wyzwaniem. Jim odszedł w daleki kąt pokoju i wracając rzucił się na mnie, w przenośni, jakby mnie chciał rozszarpać. Oświadczył, że mówię tak, ponieważ nawet ja, od którego doznał tyle dobrego, nawet ja, pamiętam... pamiętam mu to, co się zdarzyło. A cóż dopiero mówić o innych, o... o świecie? Więc cóż w tym dziwnego, że chce zniknąć, że postanowił zniknąć, usunąć się zupełnie, na Boga! A ja mu prawię o odpowiednim stanie ducha!

– To wcale nie ja pamiętam ani też świat pamięta! – krzyknąłem. – To pan, pan sam wciąż o tym pamięta.

Nie zmienił postawy i ciągnął zapalczywie:

– Zapomnieć o wszystkim, o wszystkim, wszystkich... – głos jego opadł – prócz pana – dodał.

– O mnie także, jeśli to panu może pomóc – rzekłem również po cichu. Milczeliśmy czas jakiś apatycznie, jakby do cna wyczerpani. Potem Jim zaczął mówić spokojnie, że pan Stein polecił mu poczekać z jaki miesiąc dla zbadania, czy będzie mógł tam pozostać, nim zacznie budować dla siebie nowy dom; trzeba unikać „marnych wydatków”. Pan Stein używa takich dziwnych wyrażań! „Marne wydatki” – to pyszne! Naturalnie, że Jim tam pozostanie. Wytrwa. Byle się tylko tam wśliznął, to mu wystarczy; ręczy, że pozostanie na miejscu. Nigdy się stamtąd nie ruszy. Łatwo mu przyjdzie tam zostać.

– Niech pan nie będzie zuchwały – rzekłem, zaniepokojony jego groźnym tonem. – Jeśli pan tylko dość długo pożyje, będzie pan chciał powrócić.

– Powrócić do czego? – zapytał z roztargnieniem, wpatrując się w zegar na ścianie.

Milczałem przez chwilę. – Więc to na zawsze? – rzekłem.

– Na zawsze – powtórzył marzącym tonem, nie patrząc na mnie; nagle ogarnęła go chęć działania. – Słowo daję, druga godzina, a ja wyruszam o czwartej!

To była prawda. Brygantyna Steina odpływała na zachód tegoż popołudnia; Jim miał odbyć na niej podróż, a żadne rozkazy co do opóźnienia wyjazdu nie zostały wydane. Przypuszczam, że Stein o tym zapomniał. Jim pobiegł po swoje rzeczy, a ja się udałem na mój statek, gdzie mnie obiecał odwiedzić w drodze na zewnętrzną redę. Zjawił się niebawem w wielkim pośpiechu. W ręku trzymał małą skórzaną walizkę, która była zupełnie nieodpowiednia; ofiarowałem mu swój stary żelazny

kufer, rzekomo nieprzemakalny, a w każdym razie nie przepuszczający wilgoci. Jim przepakował rzeczy w taki sposób, że wsypał zawartość walizy do kufrów jak worek pszenicy. Zobaczyłem w trakcie tego przesypywania trzy książki: dwie małe w ciemnych oprawkach i gruby zielono-złoty tom – tanie wydanie Szekspira.

– Pan to czyta? – zapytałem.

– Aha. Nic tak człowieka nie krzepi – rzekł pośpiesznie. Uderzyło mnie to zdanie, ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze. Ciężki rewolwer i dwa małe pudełka naboju leżały na stole w kajucie.

– Proszę, niech pan to weźmie – rzekłem. – To panu pomoże tam pozostać. – Ledwie wymówiłem te słowa, spostrzegłem, że mogą mieć ponure znaczenie. – Tam się przedostać – poprawiłem się ze skruchą. Ale mętne aluzje nie czeptały się Jima; podziękował mi z wylaniem i wypadł wołając przez ramię do widzenia. Usłyszałem zza burty głos jego poganiający wiosłarzy; wyrzawszy przez tylny iluminator zobaczyłem łódź okrążającą konchę rufy. Jim siedział pochylony naprzód, nagłąc do pośpiechu wiosłarzy głosem i ruchami, a ponieważ trzymał jeszcze rewolwer i zdawał się mierzyć w ich głowy, nie zapomnę nigdy przerażonych twarzy czterech Jawajczyków ani szalonego tempa ich wiosła, które uniosły tę wizję sprzed moich oczu. Odwróciwszy się ujrzałem zaraz na stole oba pudełka z nabojami. Zapomniał je zabrać.

Kazałem natychmiast spuścić gik<sup>2</sup>, lecz wiosłarze Jima, przekonani, że ich życie wisi na włosku, póki mają w łodzi tego wariata, posuwali się z taką szybkością, że nim się znalazłem na pół drogi między obu statkami, ujrzałem, iż Jim wspina się na barierę, a za nim dźwigają jego bagaż. Wszystkie żagle brygantyny były odwiązane, żagiel główny postawiony, a wyciąg kotwiczny zaczynał już szczekać, gdy wstąpiłem na pokład; szyper, mały, zwinny Metys liczący około czterdziestki, w granatowym flanelowym ubraniu, podszedł do mnie z ugrzecznionym uśmiechem. Miał ruchliwe oczy, okrągłą twarz cytrynowego koloru i cienki czarny wąsik okalający grube ciemne wargi. Okazało się, że – mimo zadowolonej z siebie i wesołej miny – Metys ma usposobienie markotne. W odpowiedzi na jakąś moją uwagę (Jim właśnie wówczas poszedł na dół na chwilę) rzekł: „Ach tak, Patusan!” Zawiezie „tego pana” do ujścia rzeki, ale „za nic na rzekę nie wstąpi”. Płynna angielszczyzna Metysa brzmiała, jakby ją wariat skompilował ze słownika. Gdyby pan Stein zażądał, aby „wstąpił na rzekę”, on (Metys) byłby „z całą czcią” (przypuszczam, że chciał powiedzieć: z całym szacunkiem, ale licho go wie) – „byłby z całą czcią przeciwstawił się temu ze względu na bezpieczeństwo posiadania”. Gdyby zaś na to nie zareagowano, byłby zgłosił „dymisję do opuszczenia statku”. Przed dwunastu miesiącami odbył tam swoją ostatnią podróż; choć pan Cornelius „przebłagał wiele ofiar” panu radcy Allangowi i „głównym ludnościom” na warunkach, które czyniły z handlu „sida i popiół w ustach”, jednak mimo to jego (Metysa) statek był ostrzeliwany z lasów przez „nieodpowiednie oddziały”, i to w ciągu całej podróży w dół rzeki. Załoga „z powodu narażenia na członki pozostała, milcząc, w kryjówkach”, toteż brygantyna ledwie że nie osiadła na mieliźnie u ujścia rzeki, gdzie byłaby „znikoma poza ludzkim działaniem”. Na szerokiej, prostodusznej twarzy Metysa walczyły z sobą dwa uczucia: gniewna odraza do tych wspomnień i duma z własnej płynnej wymowy, której się przysłuchiwał z upodobaniem. Marszczył się i rozpromieniał, na przemian, śledząc z zadowoleniem na mojej twarzy niezaprzeczone wrażenie wywołane jego frazeologią. Ciemne zmarszczki przebiegały chyżo po spokojnym morzu, a brygantyna, z przednim topslem przy maszcie i głównym bomem pośrodku okrętu, wśród lekkich powiewów wydawała się oszołomiona. Metys opowiadał dalej, zgrzytając zębami, że radza jest „śmieszna hieną” (nie mam pojęcia, skąd on tę hienę wytrzasnął), a o kimś innym wyraził się, że jest bez porównania bardziej obłudny niż „broń krokodyla”. Siedząc jednym okiem krzątanie się załogi na dziobie, puścił wodze gadulstwu i pyłował gładko, porównując Patusan do „klatki z dzikimi bestiami, rozjuszonymi przez długą zatwardziałość”. Pewno chciał powiedzieć: bezkarność. Nie ma bynajmniej zamiaru, wołał, „wystawić się na widok, żeby go wplątali umyślnie w rozbójnictwo”. Przeciągłe okrzyki, nadające

---

<sup>2</sup> gik – dziś popr.: gąg, wiosłowa łódź okrętowa. [przypis edytorski]

tempo ludziom wyciągającym kotwicę, skończyły się i Metys zniżył głos. „Mam dość za wiele po uszy tego Patusanu” – zakończył z energią.

Opowiadano mi później następującą historię: wskutek swej nierozwagi Metys doprowadził do tego, że go przywiązano za szyję powrozem z rotanu<sup>3</sup> do słupa wbitego w dziurę z błotem przed domem radży. Spędził większą część dnia i całą noc w tej niezbyt miłej pozycji, ale są wszelkie dane po temu, że owa historia była pomyślana jako coś w rodzaju żartu. Metys zamyślił się posepnie, rozpamiętywał pewno te okropne wspomnienia, po czym powiedział coś kłótliwym tonem do majtka, który szedł na rufę ku sterowi. Po chwili znów do mnie się zwrócił oświadczając apodyktycznie i spokojnie, że zabierze tego pana do ujścia rzeki Batu Kring („miasto Patusan jest położone wewnątrz trzydzieści mil” – jak się wyraził). Ale według niego, ciągnął dalej, a zamiast pytlować jak przedtem przybrał znużony ton pełen głębokiego przeświadczenia, według niego ten pan jest już „na podobieństwo trupa”.

– Co? Co pan mówi? – zawołałem.

Przybrał przerażająco dziką postawę i udał znakomicie, że zadaje komuś cios w plecy. „Zupełnie jak trup zesańca” – wyjaśnił z nieznośnie zarożumiałą miną, właściwą ludziom jego rasy, gdy sobie wyobrażają, że dokonali czegoś niezwykle mądrego. Dostrzegłem za jego plecami Jima, który uśmiechał się do mnie w milczeniu i podniósł rękę zatrzymując wykrzyknik na moich ustach.

Metys, rozdęty własną wielkością, wydawał donośnym głosem rozkazy, reje obracały się skrzypiąc, ciężki bom obrócił się z rozmachem, a my staliśmy obaj z Jimem jakby sam na sam, z lewej strony wielkiego żagla. Uścisnęliśmy sobie ręce i zamieniliśmy ostatnie spieszne słowa. Nie czułem już w sercu tej jakiejś tępej urazy, która mi jednak nie przeszkadzała przejmować się losem Jima. Idiotyczna paplanina Metysa nadała nędznym niebezpieczeństwom czyhającym na Jima więcej realności aniżeli rozważne wyjaśnienia Steina. Przy tej okazji znikł pewnego rodzaju formalizm, który przejawiał się zawsze w naszych stosunkach; zdaje się, że nazwałem Jima kochanym chłopcem, a on znów, usiłując wyrazić mi swą wdzięczność, urwał w pół zdania na słowach: „mój stary”, jak gdyby grożące mu niebezpieczeństwa, przeciwstawione mym latom, zrównały nas niejako pod względem wieku i uczuć. Nastąpiła chwila prawdziwego i głębokiego porozumienia, które było nieoczekiwane i krótkotrwałe, niby przelotna wizja jakiejś wiecznej, jakiejś zbawczej prawdy. Jim starał się usilnie mię uspokoić; rzekłbyś, z nas dwóch on był dojrzalszy.

– Wszystko będzie dobrze – mówił szybko i ze wzruszeniem. – Obiecuję panu, że będę dbał o siebie. O tak! – nie pozwolę sobie na żadne ryzyko, choćby najmniejsze. Oczywiście. Postanowiłem wytrwać. Niech się pan o mnie nie martwi. Słowo daję, mam wrażenie, że nic mi się złego stać nie może. To ci dopiero szczęście, co się zowie! Nie chciałbym zmarnować takiej wspaniałej okazji. – Wspaniałej okazji! No tak, to **była** wspaniała okazja, ale każda okazja jest tym, co człowiek z nie potrafi zrobić, a cóż ja mogłem przewidzieć?... Tak jak to Jim powiedział, nawet ja, nawet ja pamiętałem mu jego... jego nieszczęście. To była prawda. I najlepsze, co mógł zrobić – to odejść.

Mój gik znalazł się wkrótce za brygantyną; u tylnej bariery stał Jim na tle blasków zachodu; widziałem, jak wznosił czapkę wysoko ponad głowę. Dosłyszałem niewyraźny okrzyk:

– Dojdą... pana... o mnie... wieści.

O mnie czy ode mnie, nie umiem na pewno powiedzieć. Zdaje mi się, że o mnie. Blask morza mię oslepił i nie mogłem dojrzeć Jima wyraźnie; to już mój los, że go nigdy dojrzeć wyraźnie nie mogę; ale zapewniam was, że nie wyglądał ani trochę „na podobieństwo trupa”, jak się o nim wyraził kraczący szyper. Dostrzegłem twarz tego Metysa-nieboraka wyzierającą Jimowi spod łokcia; była koloru i kształtu dyni. Metys też podniósł ramię, jakby chciał zadać cios z góry. *Absit omen!*<sup>4</sup>

<sup>3</sup> rotan (mal.) – rattan, ogólne określenie pnących palm z lasów tropikalnych Azji Płd.-Wsch. używanych do wyrobu plecionek. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *Absit omen!* (łac.) – Oby to nie było złą wróżbą! [przypis edytorski]

## Rozdział dwudziesty czwarty

Patusańskie wybrzeże (zobaczyłem je prawie w dwa lata później) jest równe, posępne i ciągnie się wzdłuż mglistego oceanu. Spod ciemnozielonego listowia krzewów i pnączy, odkrywających niskie skały, wypływają czerwone smugi niby katarakty rdzy. Bagniste równiny ścielą się przy ujściu rzek, a za rozległymi lasami widać poszarpane, błękitne szczyty. Na pełnym morzu łańcuch wysp o ciemnych i pokruszonych sylwetach rysuje się w wiecznej, rozświetlonej mgle jak resztki muru zwałonego przez morze.

U jednej z odnóg ujścia Batu Kring leży wieś rybacka. Rzeka, zamknięta przez tak długi czas, była już wówczas dostępna i mały szkuner Steina, który mnie przywiózł, płynął mozolnie w górę na fali trzech przyływów, nie narażając się na ostrzeliwanie ze strony „nieodpowiednich oddziałów”. Taki stan rzeczy należał już do historii starożytnej, o ile można było wierzyć staremu naczelnikowi rybackiego osiedla, który przybył na pokład poniekąd w roli pilota. Byłem drugim z rzędu białym człowiekiem, jakiego w ogóle widział; mówił do mnie z zaufaniem i prawie wyłącznie na temat pierwszego białego, z którym się zetknął. Nazywał go tuanem Jimem, a ton jego relacji był dziwną mieszaniną poufałości i grozy. Opowiadał, że cała jego wieś pozostaje pod szczególną opieką tego władcy, co świadczyło, iż biały tuan uraz nie przechowywał. Jim uprzedził mię, że wkrótce o nim usłyszę, i tak się też stało. Słyszałem o nim rzeczywiście. Rozpowiadano już historię o tym, jak przyływ zjawił się dwie godziny przed czasem, aby ułatwić Jimowi podróż w górę rzeki. Gadatliwy staruszek sam wówczas sterował i nie mógł się nadziwić owemu zjawisku. W dodatku chwała spadła wyłącznie na jego rodzinę. Syn jego i zięć wiosłowali; ale byli to młodzieńcy bez żadnego doświadczenia i nie spostrzegli szybkości, z jaką posuwało się czółno, póki im nie zwrócił uwagi na ów zdumiewający fakt.

Przybycie Jima do rybackiej wsi stało się błogosławieństwem, ale – jak to nieraz się zdarza – błogosławieństwo to poprzedziły przerażające wypadki. Tak wiele pokoleń minęło od czasu, gdy ostatni biały człowiek nawiedził rzekę, że zaginęła nawet tradycja tego faktu. Niepokojące było pojawienie się istoty, która zstąpiła między mieszkańców wioski i żądała nieustępliwie, aby ją zawieźć w górę rzeki do Patusanu; naleganie owej istoty było groźne, a hojność więcej niż podejrzana. Nikt nigdy o takim żądaniu nie słyszał. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Co powie radza? Co mógłby im za to zrobić? Większą część nocy spędzili na naradzie, lecz bezpośrednie niebezpieczeństwo, grożące ze strony dziwnego człowieka, wydało im się tak wielkie, że zajęli się w końcu przygotowaniem wywrotnego czółna. Kobiety rozpaczały głośno, gdy odbili od brzegu. Jakaś nieulekła stara wiedźma przeklęła nieznanego.

Zasiadł w czółnie, jak wam już mówiłem, na swym blaszanym kufrze, piastując nie nabity rewolwer na kolanach. Ze względu na wywrotność czółna musiał siedzieć bardzo ostrożnie, co jest wprost wyjątkowo męczące – i tak wjechał do kraju, który miał rozbrzmiewać chwałą jego cnót, od modrych szczytów w głębi ładu aż do białej wstęgi piany u wybrzeża. Minęli pierwszy zakręt; Jim stracił z oczu morze, którego fale w nie ustającym nigdy wysiłku dźwigają się, opadają i nikną, by powstać znowu, istny obraz walczącej ludzkości – i ujrzał naprzeciw siebie nieporuszone lasy, wrosłe głęboko w ziemię, wznoszące się ku słonecznemu światłu, wieczne w tajemniczej potędze swej tradycji jak samo życie. A upragniona przez Jima sposobność towarzyszyła mu, zakwefiona, niby wschodnia oblubienica, czekająca, aby władca jej podniósł zasłonę. Jim był również dziedzicem tajemniczej i potężnej tradycji! Mówił mi jednak, że nigdy w życiu nie czuł się taki przybity i znużony jak wówczas w tym czółnie. Jedyńm ruchem, na który śmiał sobie pozwolić, było sięgnięcie jakby ukradkiem po skorupę kokosowego orzecha, która pływała między jego nogami; wylewał nią po trochu wodę ostrożnym, powściągliwym ruchem. Przekonał się, jak twardo siedzieć na pokrywie blaszanej skrzyni. Zdrowie miał niesłychane, lecz w ciągu tej podróży doznał kilka razy zawrotów głowy, a od czasu do czasu, na wpół zamroczony, starał się odgadnąć, jakich rozmiarów jest pęcherz,

który pod wpływem słońca tworzy mu się na plecach. Dla rozrywki bawił się w rozpoznawanie, czy zamulony kształt, leżący przed nim na brzegu rzeki, jest kłodą drzewa, czy też aligatorem. Lecz bardzo prędko rozrywki tej zaniechał; przestała go bawić, ponieważ okazało się, że były to zawsze aligatory. Jeden z nich rzucił się do rzeki i o mało co nie wyrzucił czółna. Ale podniecenie wywołane tym wypadkiem prędko minęło. Potem gdy jechali długim, pustym obszarem rzeki, Jim uczył żywą wdzięczność dla gromady małp, które zeszyły aż na sam brzeg i podniosły obelżywy wrzask na przejeżdżające czółno. W taki to sposób Jim zdążył do wielkości – najprawdziwszej, jaką kiedykolwiek człowiek osiągnął. Nade wszystko pragnął słońca – a tymczasem jego trzech wioślarze gotowali się do wykonania swego planu: zamierzali wydać go radzy.

– Zmęczenie musiało mnie ogłupić, a może się na pewien czas zdrzemnąłem – opowiadał mi. Gdy się ocknął, czółno przybijało do brzegu. Zdał sobie sprawę natychmiast, że las pozostał za nimi; nieco wyżej spostrzegł domy, po lewej stronie częstokół, i ujrzał, że jego wioślarze wyskakują na niski przylądek i biorą nogi za pas. Odruchowo wyskoczył za nimi. Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego go porzucili, lecz zaraz usłyszał podniecone krzyki, wrota się otworzyły i wysypało się mnóstwo ludzi biegnących w jego stronę. Jednocześnie łódź pełna zbrojnych mężczyzn ukazała się na rzece i zbliżyła do pustego czółna odcinając mu odwrót.

– Znadto byłem zaskoczony, aby zachować zimną krew – rozumie pan? Gdyby ten rewolwer był nabyty, strzeliłbym do kogoś – do dwóch, może trzech ludzi, i to byłby mój koniec. Ale nie był nabyty...

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie mogłem przecież walczyć z całą ludnością, a zresztą nie przybywałem do nich jak człowiek, który drży o swoją skórę – rzekł i spojrzał na mnie z lekkim odcieniem dawnego chmurnego uporu w oczach. Powstrzymałem się od uwagi, iż tamci nie mogli przecież wiedzieć, że komory rewolweru są puste. Ale Jim postępował według własnego przekonania. – Tak czy inaczej, nie był nabyty – powtórzył wesoło – więc też stałem po prostu bez ruchu i zapytałem, o co im chodzi. Wprawilo ich to w osłupienie. Zobaczyłem, jak kilku tych złodziei unosi moją skrzynię. Stary długonogi łotr Kassim (pokażę go panu jutro rano) wybiegł do mnie i oświadczył pompatycznie, że radza chce mnie widzieć. Odpowiedziałem mu: „Dobrze, ja także chcę się z radzą zobaczyć”, i wszedłem zwyczajnie przez bramę, i – i – oto jestem. – Roześmiał się i dodał z niespodzianym naciskiem: – A wie pan, co z tego wszystkiego najciekawsze? Zaraz panu powiem: oto świadomość, że gdyby mnie byli zakatrupili, właśnie ten kraj byłby na tym stracił.

Mówił to do mnie przed swoim domem owego wieczoru, o którym już wspominałem – kiedyśmy śledzili księżyc wypływający z rozpadliny między wzgórzami, jak mara, co się podnosi z grobu; blask jego zstępował zimny i blady, niby duch umarłego słońca. Światło księżyca jest dziwnie niepokojące; ma w sobie beznamiętność odcieśnionego ducha i coś z jego niepojętej tajemnicy. Do naszego słońca, które – mówcie sobie, co chcecie – jest źródłem wszelkiego życia, księżyc ma się jak echo do dźwięku; zwodzi nas i prowadzi na manowce, bez względu na to, czy dźwięk był szyderczy, czy też smutny. Księżyc odbiera wszystkim kształtom rzeczywistość – która jest przecież naszą dziedziną – odbiera im ich istotę i nadaje ponurą realność tylko cieniom. Cienie wokoło nas były realne, lecz mimo to Jim stojąc obok mnie wyglądał krzepko, jakby nic nie mogło pozbawić go realności w mych oczach – nawet tajemnicza siła księżycowego blasku. Może naprawdę stał się nietykalny, ponieważ już wytrzymał natarcie ciemnych potęg. Spokój i cisza panowały wszędzie; nawet promienie księżyca spały na rzece jakby na powierzchni stawu. Był to punkt kulminacyjny przypływu, chwila bezruchu uwydatniająca jeszcze wyraźniej zupełne odcięcie od świata tego zatraconego kąta ziemi. Domy, skupione wzdłuż rozległej, jaśniejszej przestrzeni bez zmarszczek lub błysków, zstępowały ku wodzie szeregiem stykających się, niewyraźnych kształtów, szarych, srebrzystych, pomieszanych z czarnymi masami cienia. Były niby upiorne stado bezkształtnych stworzeń cisnących się do widmowej, martwej rzeki, aby ugasić pragnienie.

Gdzieniedzie połyskiwało czerwone światło wśród bambusowych ścian, ciepłe jak żywa iskra, świadczące o ludzkich uczuciach, o schronieniu, o wypoczynku.

Jim wyznał mi, że śledził często te drobne, ciepłe światełka gasnące jedno po drugim, że patrzył z rozkoszą, jak ludzie kładą się spać w jego oczach, ufając bezpiecznemu jutru.

– Spokojnie tu, co? – zapytał. Nie był wymowny, ale słowa, które teraz miał wypowiedzieć, zawierały głębokie znaczenie: – Niech pan spojrzy na te domy; nie ma wśród nich ani jednego, gdzie by mi ludzie nie ufali. Słowo daję! Powiedziałem panu, że tu wytrwam. Niech pan spyta kogokolwiek, mężczyzny, kobiety czy dziecka... – Zatrzymał się. – Jednym słowem, czuję się tu zupełnie dobrze.

Wtrąciłem szybko, że przekonał się wreszcie o tym, czego ja byłem pewien od samego początku. Potrząsnął głową.

– Naprawdę był pan tego pewien? – Ścisnął lekko moją rękę nad łokciem. – A więc, miał pan słuszność. – Było uniesienie i duma, była prawie groza w jego cichym okrzyku: – Miły Boże! niech pan tylko pomyśli, czym to jest dla mnie. – Ścisnął znów moje ramię. – A pan mnie pyta, czy nie myślę o powrocie. Boże mój! Ja? o powrocie! Szczególniej teraz, po tym, co mi pan powiedział o panu Steinie... Wrócić? Cóż znowu! Tego się właśnie boję. Byłoby to – byłoby to gorsze niż śmierć. Nie, daję panu słowo. Niech pan się nie śmieje. Muszę czuć każdego dnia, za każdym razem, gdy oczy otworzę, że mi ludzie ufają, że nikt nie ma prawa, rozumie pan? Wyjechać! Dokąd? Dlaczego? Żeby zdobyć, co zdobyć?

Powiedziałem mu właśnie (był to główny cel moich odwiedzin), że Stein ma zamiar ofiarować mu dom i cały zapas towarów w Patusanie na pewnych dogodnych warunkach, które uczynią z tego najzupełniej prawidłową i ważną transakcję. Jim zachnął się i zaczął stawać dęba.

– Do licha z tą pańską delikatnością! – krzyknąłem. – To nie jest żadna łaska ze strony Steina. On po prostu oddaje panu to, co pan sam wypracował. A w każdym razie niech pan zachowa swoje uwagi dla Mac Neila, kiedy spotkacie się na tamtym świecie. Mam nadzieję, że to prędko nie nastąpi... – Musiał się poddać moim argumentom, ponieważ wszystko, co zdobył, zaufanie, sławę, przyjaciół, miłość, wszystko, przez co się stał władcą, uczyniło z niego także i więźnia. Spoglądał okiem właściciela na spokój wieczoru, na rzekę, na domy, na wieczysty żywot lasów, na życie pierwotnej ludzkości, na tajemnice tego kraju, na dumę własnego serca; ale to właśnie one zawładnęły nim i uczyniły go swoją własnością aż do najtajniejszej jego myśli, do najłżejszego drgnienia serca, do ostatniego oddechu.

Pewnie, że miał z czego być dumny. I ja też byłem dumny – za niego, choć może nie byłem tak głęboko przeświadczony, że transakcja zawarta ze Steinem jest bajecznie korzystna. Wszystko to było zdumiewające. I nie miałem tu głównie na myśli nieulekłego męstwa Jima; to dziwne, jak mało brałem je pod uwagę: jakby było czymś zbyt banalnym, aby je uważać za sedno sprawy. Nie. Uderzyły mnie bardziej inne dary, które wykazał. Dowiódł, że umie się połapać w obcych sobie warunkach; dowiódł sprawności swego umysłu, a przy tym ta jego gotowość na wszystko! Niesłychane. I było to w nim tak naturalne jak wąż u rasowego psa. Brakowało mu wymowy, lecz z jego wrodzonej powściągliwości przebijała godność, a z jego urywanych zdań – wielka powaga. Wciąż jeszcze miał dawną skłonność do czerwienienia się. Niekiedy wymykało mu się jakieś słowo lub zdanie dowodzące, jak głęboko, jak poważnie przejmował się pracą, która dała mu pewność rehabilitacji. Dlatego właśnie zdawał się kochać ów kraj i ludzi z pewnego rodzaju namiętym egoizmem, z pogardliwą czułością.

## Rozdział dwudziesty piąty

– Oto tu przez trzy dni byłem więźniem – szepnął do mnie (w czasie naszych odwiedzin u radży), gdyśmy szli wolno przez dziedziniec Tunku Allanga, wśród jego popleczników zbiegających się z oznakami najwyższej czci. – Niechlujnie tu, co? Nie dawali mi nic do jedzenia, póki nie zrobiłem awantury, i dopiero wtedy dostałem mały talerzyk ryżu i smażoną rybkę nie większą od płotki – niech ich lichy! Włóczyłem się zgłodniały wewnątrz cuchnącego częstokołu, a za mną kilku tych cymbałów podsuwających mi mordy pod sam nos. Oddałem sławetny pański rewolwer na pierwsze żądanie, zadowolony, że się pozbywam tej zmory. Robiłem wrażenie idioty spacerując z nie nabitą bronią w rękę.

W tej chwili znaleźliśmy się w obecności władcy; Jim oblókł się w głęboką powagę i zachował się z wyszukaną grzecznością wobec człowieka, który nie tak dawno go więził. To było nadzwyczajne. Chce mi się śmiać na samą myśl o tym. Ale wówczas byłem przejęty. Stary łotr Tunku Allang nie potrafił ukryć strachu (bohaterstwem się nie odznaczał, choć lubił opowiadać o swojej bujnej młodości), przy tym zaś jego sposób bycia w stosunku do dawnego więźnia zdradzał czujność, a zarazem zaufanie. Uważacie? Nawet ci, którzy najbardziej Jima nienawidzili, ufali mu jednak. Jim – o ile mogłem śledzić rozmowę, skorzystał ze sposobności, aby wygłosić pouczenie. Napadnięto niedawno kilku biednych wieśniaków udających się do Doramina i obrabowano ich z kawałków gumy i wosku, które chcieli wymienić na ryż.

– To Doramin jest złodziejem! – wybuchnął radża. Jego stare, wątłe ciało trzęsło się po prostu z wściekłości. Wił się dziwacznie na macie, wymachując rękami i nogami, targając poplątane strąki swego kołtuna – istne wcielenie rozwścieczonego majestatu. Otaczały nas w krąg wytrzeszczone oczy i otwarte usta. Jim zaczął mówić. Rozwodził się czas jakiś z chłodną stanowczością na temat, że nie należy przeszkadzać, gdy ktoś zarabia uczciwie na chleb dla siebie i swoich dzieci. Tamten drugi siedział jak krawiec nad swoją deską, położywszy każdą dłoń oddzielnie na obu kolanach; spuścił głowę i patrzył nieruchomo w Jima poprzez siwą czuprynę, która mu opadała aż na oczy. Kiedy Jim przestał mówić, nastąpiła głucha cisza. Zdawało się, że wszystkim zaparło dech w piersiach, nikt nie odezwał się ani słowem; wreszcie stary radża westchnął z lekka, podniósł oczy i rzekł szybko, potrząsając głową:

– Słyszysz, mój ludu! Dość tych figłów.

Wysłuchano rozkazu w głębokim milczeniu. Otyły mężczyzna – najwidoczniej zausznik radży – o inteligentnych oczach, kościstej, szerokiej, bardzo ciemnej twarzy i wesołym a unizonym obejściu (dowiedziałem się później, że to był kat), podał nam dwie filiżanki kawy na miedzianej tacy, którą wziął z rąk niższego rangą dworzanina.

– Pan tego pić nie powinien – mruknął Jim błyskawicznie. Nie zrozumiałem z początku, co znaczą te słowa, i tylko popatrzyłem na niego. Pociągnął spory łyk i siedział spokojnie, trzymając filiżankę w lewej ręce. Po chwili złość mnie porwała.

– Czemuż, u diabła – szepnąłem uśmiechając się uprzejmie do Jima – naraża mnie pan na takie idiotyczne niebezpieczeństwo? – Wypiłem oczywiście, bo nic innego mi nie pozostawało; Jim ani drgnął i pożegnaliśmy się z radżą prawie natychmiast. Gdyśmy schodzili dziedzińcem do naszej łodzi, eskortowani przez rozgarniętego i wesołego kata, Jim bardzo mnie przeproszał twierdząc, że właściwie prawie nic nam nie groziło. Osobiście nie lękał się wcale trucizny. Prawdopodobieństwo otrucia było minimalne. – Uważają – jak mnie zapewnił – że jest nieskończenie bardziej użyteczny niż groźny, toteż...

– Ależ radża ma święty strach przed panem. Widać to od razu – dowodziłem, wyznając, dość zgryźliwie, wyczekując wciąż z niepokojem, czy nie chwycą mnie pierwsze kurcze jakichś okropnych boleści. Wstręt mnie ogarnął.

– Jeśli mam tu na coś się przydać i utrzymać swe stanowisko – rzekł Jim siadając obok mnie w łódce – muszę się na to narażać; robię to przynajmniej raz na miesiąc. Wielu ludzi liczy na to, że tak właśnie postąpię – dla ich dobra. Radza boi się mnie! Otóż to właśnie. Boi się mnie najprawdopodobniej dlatego, że ja się nie boję jego kawy. – Potem rzekł pokazując mi miejsce z północnej strony częstokołu, gdzie zaostrome końce kilku pali były złamane: – Tędy przeskoczyłem na trzeci dzień mego pobytu w Patusanie. Nie zmienili jeszcze tych pali. Dobry skok, co? – W chwilę później mijaliśmy ujście błotnistej zatoczki. – Tu skoczyłem po raz drugi. Biegłem kawałek, rozpędziłem się i chciałem przesadzić tę zatoczkę, ale mi się nie udało. Myślałem już, że zostawię tu swoją skórę. Zgubiłem trzewiki grzebiąc się w błocie. A przez cały czas rozmyślałem, jakie by to było okropne, gdyby mnie dziabnęli z tyłu taką, psiakrew, długą włócznią, podczas gdy tkwiłem w tym błocie. Pamiętam, że mnie mdliło, kiedy usiłowałem się wygrzebać. Miałem dosłownie mdłości, jakbym połknął coś zgniłego.

A więc to się tak odbywało – a upragniona przez Jima sposobność nieustannie mu towarzyszyła – i w biegu, i w skoku przez strumień, i podczas zmagania się z błotem... wciąż zakwefiona. Nagłość jego niespodzianego przybycia ocaliła go przed natychmiastowym zakłuciem krisami<sup>5</sup> i wrzuceniem do rzeki. Mieli go w ręku, lecz było to tak, jakby pojмали jakąś zjawę, ducha, zły omen. Co to znaczy? Co z tym zrobić? Czy już nie za późno, aby to stworzenie przebłagać? Może lepiej je zabić, dłużej już nie zwlekając? Lecz co się wówczas stanie? Nieszczęsny stary Allang o mało nie oszalał, osaczony przez złe przecucia, niezdolny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Kilka razy obrady zostały zerwane i członkowie ich rzucili się na łeb na szyję przez drzwi na werandę. Jeden z zauszników – jak mówią – skoczył nawet na ziemię – z wysokości piętnastu stóp, o ile mi się zdaje – i złamał nogę. Królewski rządca Patusanu dziwacznie miał obyczaje, a jeden z nich polegał na tym, że każdą trudną dyskusję przeplatał chełpliwymi rapsodami o swoich czynach, przy czym stopniowo podniecał się coraz bardziej i w końcu rzucał się ze swego wysokiego siedziska z krisem w ręku. Lecz wyjąwszy podobne przerwy, narady nad losem Jima ciągnęły się dniem i nocą.

A tymczasem on wąsał się po dziedzińcu; jedni go unikali, drudzy gapili się na niego, wszyscy go strzegli, a w gruncie rzeczy był na łasce pierwszego lepszego gałgana uzbrojonego w nóż. Wybrał sobie do spania małą, walącą się szopę; wyziewy brudu i zgnilizny bardzo mu przeszkadzały; jednak, zdaje się, apetytu nie stracił, ponieważ – jak mi opowiadał – był głodny przez cały ten, psiakrew, czas. Raz po raz „jakiś nadęty osioł”, wysłany z izby obrad, wybiegał do niego i miodowym tonem zadawał mu zdumiewające pytania: „Czy przybywają Holendrzy, aby krajem zawładnąć? Czy biały człowiek nie chciałby wrócić z powrotem w dół rzeki? W jakim celu przybył do takich nędznych okolic? Radza chciałby wiedzieć, czy biały umie naprawić zegar?” – i rzeczywiście, przynieśli mu nikłowy budzik amerykańskiego wyrobu. Jim – wprost z nieznośnych nudów – zaczął nad nim majstrować, usiłując naprawić mechanizm dzwonka. I wówczas to, jak się zdaje, kiedy był zajęty w swej szopie, zaświtało mu nagle poczucie niezmiernego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Wypuścił z rąk zegar „jak gorący kartofel” i wyszedł śpiesznie, nie mając najmniejszego pojęcia, co dalej począć. Wiedział tylko, że jego położenie jest nie do wytrzymania. Wąsał się bez celu za małym, na wpół rozwalonym spichrzem, sterczącym na palach, gdy nagle jego oczy padły na połamane koły w palisadzie; i wtedy – jak mi opowiadał – natychmiast, bez żadnego myślowego procesu ani też podniecenia zabrał się do ucieczki, jakby wykonywał plan dojrzewający już od kilku tygodni. Uszedł niedbale kilkanaście kroków dla nabrania rozpędu i odwróciwszy się spostrzegł tuż obok siebie jakiegoś dygnitarza, eskortowanego przez dwóch włóczyków, który zamierzał właśnie zadać mu kilka pytań. Jim smyrznął mu „spod nosa”, przeleciał „jak ptak” nad częstokołem i spadł po drugiej stronie, doznając takiego wstrząsu, że zachrobotały mu wszystkie kości; miał wrażenie, iż głowa mu pękła. Dźwignął się natychmiast. I wciąż jeszcze nie myślał o niczym; pamiętał tylko, że podniósł się wielki wrzask; najbliższe chaty Patusanu były o czterysta jardów przed nim, ujrzał zatoczkę i

---

<sup>5</sup> kris – sztylet malajski, zwykle o wężowatej kłindze, mierzącej 30–40 cm. [przypis edytorski]

jakby machinalnie przyśpieszył biegu. Ziemia zdawała się uciekać mu spod nóg. Odbił się od krańca suchego gruntu, poczuł, że leci w powietrzu, a potem – nie doznawszy żadnego wstrząśnienia – zarył się w niezmiernie miękkie i lepki muł. Usiłował daremnie poruszyć nogami i dopiero wtedy „opamiętał się wreszcie”, jak się wyraził. Zaraz przyszedł mu na myśl „te, psiakrew, długie włócznie”. Zważywszy, że ludzie wewnątrz ostrokołu musieli dopaść bramy, zejść do przystani, wsiąść w czółna i objechać naokoło przylądka – Jim wyprzedził ich znacznie bardziej, niż sobie wyobrażał. Przy tym wobec odpływu nie było wody w zatoczce, choć niepodobna było nazwać jej suchą, i w gruncie rzeczy Jimowi nie groziło na razie żadne niebezpieczeństwo prócz może bardzo dalekiego strzału. Twardy grunt znajdował się przed nim nieco wyżej, w odległości jakich sześciu stóp.

– Myślałem, że tak czy owak, będę musiał tam zginąć – rzekł.

Poruszał rozpaczliwie rękami walcząc z błotem i udawało mu się tylko spiętrzać przed sobą okropną, zimną kupę lśniącego mułu, sięgającą mu aż po brodę. Miał wrażenie, że się zagrzebuje żywcem i zaczął walić w muł jak szalony, rozpryskując go pięściami. Padało mu to na głowę, na twarz, dostając się do ust, do oczu. Wspomniał nagle dziedziniec, jak człowiek wspomina miejsce, gdzie był przed wielu laty szczęśliwy. Tęsknił za tym, by się znaleźć tam znowu, przytaczam jego własne słowa, i naprawiać budzik. Naprawiać budzik – otóż to właśnie! Zdawało mu się, że oczy mu pękają w orbitach, że ślepnie od szalonych, konwulsyjnych, zapamiętałych wysiłków, które doszły do szczytu w potężnym, ostatecznym porywie na oślep, aby się przebić przez ziemię, aby zrzucić ją ze swych członków – i poczuł, że się pnie nieznacznie pod górę ku brzegowi.

Leżał jak długi na twardym gruncie, widział światło i niebo. Potem, niby błysk szczęścia, spadła na niego myśl, iż zaśnie. Jim twierdzi stanowczo, że zasnął naprawdę, że spał, może minutę, może dwadzieścia sekund, a może tylko jedną sekundę, lecz pamięta wyraźnie gwałtowny, konwulsyjny wstrząs przy ocknieniu. Leżał jeszcze nieruchomo przez chwilę, a potem dźwignął się, pokryty mułem od stóp do głów, i stał tak, myśląc, że jest tu sam jeden należący do innej rasy – sam jeden na setki mil wokoło, że nie może się spodziewać od nikogo pomocy, współczucia, litości – że jest jak ścigane zwierzę. Pierwsze domy znajdowały się nie dalej niż o dwadzieścia jardów; rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety, starającej się unieść dziecko, pobudził go znów do biegu. Rzucił się naprzód w samych skarpetkach, oblepiony warstwą błota, które go pozbawiało wszelkiego podobieństwa do ludzkiej istoty. Przebiegł tak więcej niż pół osady. Na prawo i lewo uciekały przed nim kobiety, zwinniejsze od mężczyzn, ci zaś upuszczali to, co im się zdarzyło mieć w rękę, i z otwartymi ustami obracali się w kamień. Był jak lecący postrach. Mówił mi, że zauważył malutkie dzieci, które, starając się uciec w popłochu, padały na brzuszki i wywijają nóżkami w powietrzu. Skreślił między dwie chaty pod górę, przelazł z desperacją przez barykadę ze ściętych drzew (w owych czasach nie było tygodnia bez walk w Patusanie), przedarł się przez płot na pole kukurydzy, gdzie jakiś przerażony chłopiec rzucił w niego kijem, dostał się na ścieżkę i wpadł od razu w ramiona kilku zdumionych ludzi. Ledwie mu wystarczyło oddechu, aby wykrztusić: „Doramin! Doramin!” Pamięta, że go na wpół wnieśli, na wpół zaciągnęli na szczyt pochyłości, gdzie się znalazł w obszernym ogrodzeniu wśród palm i drzew owocowych; zaprowadzono go przed tęgiego mężczyznę, który siedział ociężale w fotelu wśród szalonego rozruchu i podniecenia. Jim zaczął grzebać niezdarnie w zabłoconym odzieniu, aby wydobyć pierścień, i nagle padł na wznak na ziemię, dziwiąc się, kto go przewrócił. A tamci po prostu puścili go – rozumiecie? – tylko że nie mógł się już utrzymać na nogach. U stóp pochyłości rozległo się kilka strzałów na chybił trafił, a ponad dachy osady niósł się głuchy gwar zdumienia. Lecz Jim był już bezpieczny. Ludzie Doramina barykadowali bramę i leli mu wodę do gardła; stara żona Doramina, pełna troskliwości i współczucia, wydawała swym dziewczętom krzykliwe rozkazy.

– Staruszka krzątała się koło mnie – rzekł Jim miękko – jakbym był jej własnym synem. Położyli mię na olbrzymim łożu – na jej własnym, paradnym łożu; przybiegała do mnie raz po raz, obcierając łzy i klepiąc mię po ramieniu. Musiałem wyglądać żałośnie. Leżałem tam jak kłoda, nie, wiem jak długo.

Jim zdawał się mieć wiele tkliwości dla starej żony Doramina. Ona zaś ze swej strony przywiązała się do niego jak matka. Miała okrągłą, łagodną twarz orzechowego koloru, całą w drobniutkich zmarszczkach, grube, jaskrawoczerwone wargi (żuła gorliwie betel<sup>6</sup>) i mrugające, dobroduszne oczy. Była w ciągłym ruchu i zrzędziła pilnie na gromadkę młodych kobiet o jasnobrązowej cerze i wielkich, poważnych oczach, ganiając je nieustannie; były to jej córki, służebne, niewolnice. Pan wie, jak to jest u tych krajowców, niepodobna na ogół rozróżnić. Bardzo była szczupła, i nawet w swej obfitej zwierzchniej szacie, zapiętej z przodu na klamry wysadzone kamieniami, wyglądała niepokaznie. Ciemne, gołe jej nogi tkwiły w żółtych słomianych chodakach chińskiego wyrobu. Widziałem ją nieraz krzątającą się szybko, przy czym niezmiernie gęste jej włosy, długie i siwe, spadały na ramiona. Wypowiadała słowa pełne bystrości i rozsądku, była szlachetnie urodzona, arbitralna i miała swoje dziwactwa. Po południu siadywała zwykle w bardzo obszernym fotelu naprzeciw swego męża, patrząc spokojnie przez szeroki otwór w ścianie, skąd był rozległy widok na osadę i rzekę.

Żona Doramina podwijiała zawsze nogi pod siebie, lecz on sam siedział w fotelu prosto, imponująco, jak góra na równinie. Pochodził z klasy *nakhoda*, czyli kupieckiej, lecz szacunek, który mu okazywano, i dostojność jego obejścia rzuciły się w oczy. Stał na czele drugiej z rzędu potęgi w Patusanie. Grupa przychodźców z Celebesu (około sześćdziesięciu rodzin, które z domownikami mogły wystawić mniej więcej dwustu ludzi „noszących kris”) wybrała go przed laty na naczelnika. Ludzie z tej rasy są inteligentni, przedsiębiorczy, mściwi, odznaczają się większą odwagą niż inni Malaje i buntują się przeciw uciskowi. Utworzyli stronnictwo przeciwstawiające się radży. Kłótnie wybuchały oczywiście na tle prawa do handlu. Był to zasadniczy powód walk między stronnictwami, nagłych powstań, które zapępiały tę lub ową część osady dymem, ogniem, hukami wystrzałów i wrzaskiem. Palono wsie, wleczono ludzi do ostrokołu radży, gdzie ich zabijano lub poddawano torturom za zbrodnię handlu z kim innym niż z ich władcą. W tej właśnie rybackiej wsi, która później dostała się pod szczególną opiekę Jima, zaledwie na dwa lub trzy dni przed jego przybyciem oddział łuczników radży zrzucił ze skalistego wybrzeża kilku ojców rodzin, gdyż podejrzewano ich o zbieranie jadalnych gniazd dla handlarza z Celebesu. Radża Allang uważał się za jedyne kupca w swym kraju i przekroczenie jego monopolu pociągało za sobą karę śmierci; lecz pojęcia radży o handlu były jednoznaczne z najpospolitszym rabunkiem. Tylko tchórzostwo Tunku Allanga hamowało jego chciwość i okrucieństwo; bał się zorganizowanej siły przychodźców z Celebesu, lecz – do przybycia Jima – bał się ich za mało, aby siedzieć spokojnie. Uderzał w nich za pośrednictwem swoich poddanych i był najgłębiej przekonany, że jest w swoim prawie.

Sytuację utrudniał jeszcze obcy wędrowiec, półkrwi Arab, który, sądząc, na gruncie ściśle religijnym, doprowadził do powstania plemion w głębi kraju (leśnych ludzi, jak ich Jim nazywał) i usadowił się w ufortyfikowanym obozie na szczycie jednego z dwóch bliźniaczych wzgórz. Wisiał nad Patusaniem jak jastrząb nad kurnikiem i pustoszył okolicę. Całe wsie, opuszczone przez mieszkańców, gniły na poczerniałych palach nad brzegiem przejrzystych strumieni; ściany domków plecione z traw i liściaste dachy opadały strzępami w wodę, co czyniło ciekawe wrażenie naturalnego rozpadu, jakby domki te były pewnym rodzajem roślinności dotkniętej zarazą u samych korzeni. Oba stronnictwa w Patusanie żyły w niepewności, nie wiedząc, które z nich intruz najpierw zamierza złupić. Radża wszedł z nim w lekkie konszachty. Niektórzy z bugiskich osadników, znużeni ciągłym niebezpieczeństwem, skłaniali się poniekąd do porozumienia z uzurpatorem. Bardziej przedsiębiorczy radzili na wespół żartem, aby „wezwać szeryfa Alego z jego dzikimi ludźmi i wypędzić z kraju radzę Allanga”. Doramin z trudnością ich powstrzymywał. Starzał się i choć jego wpływy jeszcze się nie zmniejszyły, przestawał już panować nad sytuacją. Taki był stan rzeczy, gdy Jim,

<sup>6</sup> *betel* – używka do żucia popularna na Dalekim Wschodzie, sporządzana z pociętych liści pieprzu betelowego, nasion palmy areka, sproszkowanego wapienia oraz innych dodatków. [przepis edytorski]

wskoczywszy zza ostrokołu radży, ukazał się przed naczelnikiem Bugisów, wydobył pierścień i został przyjęty, że tak powiem, na łono ich społeczności.

## Rozdział dwudziesty szósty

Doramin był jednym z najwybitniejszych ludzi swej rasy, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jego postać, jak na Malaję, wydawała się olbrzymia, ale nie tylko z powodu tuszy; wyglądał wspaniale, monumentalnie. Nieruchomy tułów przywdziany w bogate tkaniny, barwne jedwabie i złote hafty; wielka głowa obwinięta w chustę czerwoną ze złotem; płaskie, duże, okrągłe, podkreślone zmarszczkami oblicze o dwóch półkulistych, ciężkich fałdach poczynających się u szerokich, srogich nozdrzy i okalających usta o grubych wargach; kark jak u byka; szerokie, poradłone czoło wznoszące się nad nieruchomymi, dumnymi oczami – wszystko to składało się na całość, której niepodobna było zapomnieć, kiedy się raz ją ujrzało. Odznaczał się niewzruszonym spokojem – zasiadłszy, rzadko kiedy poruszył ręką lub nogą; uwydatniało to jeszcze bardziej jego dostojność. Nie słyszano nigdy, aby kiedykolwiek podniósł głos. Mówił zachrypłym, potężnym szeptem – nieco zgłuszonym, jakby dochodzącym z pewnej odległości. Gdy siedł, dwóch krępych, krzepkich młodzieńców, nagich do pasa, w białych sarongach i czarnych myckach na tyłach głów, podtrzymywało mu łokcie; pomagali Doraminowi siadać i trzymali się za jego krzesłem, kiedy zaś władca chciał się podnieść, obracał głowę powoli, jakby z trudnością, w prawo i w lewo, a młodzieńcy chwyтали go pod pachy i dźwigali z miejsca. Mimo to nie miał w sobie nic z kaleki, przeciwnie, ciężkie jego ruchy były jakby przejawem potężnej, rozważnej siły. Uchodziło za pewnik, że zasięgał rady swej żony w sprawach publicznych, lecz o ile wiem, nikt nigdy nie słyszał, aby zamienili choć jedno słowo. Gdy siedzieli uroczyście przy wielkim oknie, trwali zawsze w milczeniu.

W dole rozpościerała się przed nimi w mierzchnącym świetle rozległa przestrzeń leśnego kraju – mroczne, sennie morze ciemnej zieleni, falujące aż hen po łańcuch gór z purpury i fioleto; rzeka lśniła w błyszczących skrętach, niby olbrzymia litera S z kutego srebra; brunatna wstęga domostw biegła wzdłuż wygięcia obu brzegów, pod dwoma bliźniaczymi wzgórzami, ukazującymi się zza najbliższych wierzchołków drzew. Doramin i jego żona tworzyli kontrast zadziwiający; ona – drobna, delikatna, szczupła, żywa, przypominała trochę czarownicę, a jej spokój miał w sobie coś z macierzyńskiego zatroskania; Doramin naprzeciw niej, olbrzymi i ciężki, niby postać wyciosana z gruba w kamieniu, wyglądał w swym bezruchu jak wielkoduszny barbarzyńca. Syn tych dwojga starców był niezwykle wybitnym młodzieńcem.

Późno im się urodził. Nie był może w rzeczywistości tak bardzo młody, jak się zdawało. Dwadzieścia cztery lub pięć lat – nie jest to już wczesna młodość dla człowieka, który w osiemnastym roku życia był ojcem rodziny. Gdy wchodził do obszernego pokoju – o suficie obciążonym białym płótnem, a ścianach i podłodze pokrytych cienkimi matami – gdzie para małżeńska siedziała w otoczeniu kornej świty, zbliżał się od razu do Doramina, całował go w rękę – na co tamten zezwalał majestatycznie – a potem usuwał się na bok i stawał za fotelem matki. Chyba mogę powiedzieć, że go ubóstwiali, ale nigdy nie przychwyciłem ich na tym, aby otwarcie spojrzeli na niego. Prawda, iż były to oficjalne przyjęcia, zazwyczaj bardzo tłumne. Uroczysty ceremoniał powitań i pożegnań, głęboka czołobitność przejawiająca się w ruchach, wyrazie twarzy, cichych szepciach – wszystko to było wręcz nieopisane.

– Czy nie warto tego zobaczyć? – rzekł Jim, gdyśmy się przeprawiali przez rzekę w powrotnej drodze. – Wyglądają zupełnie jak bohaterowie z powieści, prawda? – mówił tryumfująco. – A Dain Waris, ich syn, to, poza panem, najlepszy ze wszystkich przyjaciół, jakich miałem kiedykolwiek. Pan Stein powiedziałby o nim: „dobry kompan z pola bitwy”. Boże mój! Cóż to było za szczęście, kiedy między nich wpadłem goniąc resztkami sił. – Rozmyślał przez chwilę ze spuszczoną głową, po czym ocknął się i dodał: – Naturalnie, że nie siedziałem z założonymi rękami, tylko... – Zamilkł znów. – Mam wrażenie, że wszystko przyszło mi samo z siebie – mruknął. – Ujrzałem nagle, co należy zrobić...

I rzeczywiście, wszystko przyszło mu jakby samo z siebie, i to w dodatku przyszło przez wojnę, co jest zupełnie naturalne, ponieważ moc, którą w sobie poczuł, przez wojnę doprowadziła do pokoju. Jedynie w tym znaczeniu siła jest równoznaczna ze sprawiedliwością. Ale nie myślcie, że od razu ujrzał swą drogę. Kiedy przybył, społeczność Bugisów była w niezmiernie ciężkiej sytuacji.

– Bali się wszyscy – opowiadał mi Jim – każdy się lękał o swoją skórę; a ja widziałem najwyraźniej w świecie, że muszą natychmiast coś przedsięwziąć, jeśli nie chcą zmarnieć jeden za drugim, gnębieni z jednej strony przez radzę, a z drugiej przez tego włóczęgę szeryfa.

Ale zrozumieć położenie to było jeszcze mało. Kiedy już powziął swój projekt, musiał go wbijać w oporne umysły, przewyciężając zapory strachu i samolubstwa. Udało mu się wreszcie. Lecz na tym nie koniec. Trzeba było obmyślić sposób działania. Jim ułożył plan bardzo śmiały; a i wówczas jeszcze zadanie było rozwiązane dopiero w połowie. Musiał natchnąć swą wiarą wielu ludzi, którzy mieli ukryte lub bezsensowne powody do stawiania oporu; musiał załagodzić nedorzeczne zawiści i wyperswadować im głupie wątpliwości wszelakiego rodzaju. Nie byłoby mu się udało, gdyby nie powaga, jaką się cieszył Doramin, i gdyby nie ognisty zapal jego syna. Dain Waris, ów niezwykle młodzieniec, pierwszy w Jima uwierzył; zawiązała się między nimi jedna z tych osobliwych, głębokich, rzadkich przyjaźni między brązowymi a białymi ludźmi, przyjaźni, w których właśnie różnica ras zdaje się pociągać ku sobie dwie ludzkie istoty jakąś dziwną, żywiołową sympatią.

O Dainie Warisie własni jego ludzie mawiali z dumą, że umie walczyć jak biały. To była prawda; miał ten rodzaj męstwa – męstwa w otwartym polu, że tak powiem – ale i umysł jego był europejski. Spotyka się czasem takich Malajów i niespodzianie odkrywa się w nich ze zdumieniem pokrewny sposób myślenia, bystry umysł, wytrwałe dążenie do celu, odcień altruizmu. Dain Waris był wzrostu niewielkiego, lecz niezwykle harmonijnej budowy; miał dumną postawę, gładkie, swobodne obejście, a temperament podobny do jasnego płomienia. Jego ciemna twarz o wielkich czarnych oczach była wymowna w ruchu i zamyślona w spoczynku. Usposobienie miał milczące; stanowczy wzrok, ironiczny uśmiech, dworny sposób bycia, pełen rozwagi, zdradzały w nim wielkie zasoby inteligencji i siły. Takie istoty ukazują ludziom z Zachodu – którzy zwykle głębiej nie sięgają – ukryte możliwości ras i krajów owianych tajemnicą niezliczonych stuleci. Dain nie tylko wierzył Jimowi; jestem przekonany, że go rozumiał. Mówię tak o Dainie, ponieważ byłem pod urokiem tego człowieka. W jego – że tak powiem – szyderczym spokoju i zarazem inteligentnym sprzyjaniu zamiarom Jima było coś bardzo pociągającego. Miałem wrażenie, że oglądałem przyjaźń u jej źródła. Wprawdzie Jim przewodził, ale Dain oczarował swego przywódcę. W gruncie rzeczy Jim był więźniem w całym tego słowa znaczeniu. Kraj, lud, przyjaźń, miłość strzegły go zazdrośnie. Każdy dzień dodawał ogniu do kajdan tej dziwnej wolności. Czułem to coraz dobitniej, w miarę jak z dnia na dzień dowiadywałem się więcej szczegółów z historii Jima.

A ileż się o niej nasłuchałem! I w marszu podczas naszych wycieczek, i w obozie (włóczyliśmy się po kraju w pościgu za niewidzialną zwierzyną); znaczną część swych przygód opowiedział mi na jednym z bliźniaczych wzgórz, gdzie się wdrapałem czołgając się na rękach i nogach przez ostatnich sto metrów. Nasza eskorta (składająca się z ochotników towarzyszących nam od wsi do wsi) rozłożyła się obozem na małej polance w połowie wysokości wzgórza; wieczór był cichy i bezwietrzny. Zapach drzewnego dymu dochodził do naszych nozdrzy niosąc aromat delikatny i przenikliwy. Wznosiły się ku nam głosy zadziwiająco wyraźne, jasne, niematerialne. Jim siadł na pniu świętego drzewa, wyciągnął fajkę i zaczął palić. Nowe pokolenie traw i krzewów strzelało z ziemi; pod gęstwą ciemnych gałęzi były ślady okopów.

– Stąd się wszystko zaczęło – rzekł Jim wyrwawszy się z długiej, głębokiej zadumy. Na sąsiednim wzgórzu, odległym o jakie dwieście jardów, z przeciwległej strony mrocznej przepaści, zobaczyłem szereg wysokich, poczerniałych kołów walących się miejscami – szczątki niedostępnego obozu szeryfa Alego.

Lecz obóz ten został zdobyty. Stało się to dzięki pomysłowi Jima, który wwindował na szczyt wzgórza starą artylerię Doramina: dwa zardzewiałe działa siedmifuntowe i mnóstwo drobnych

mosiężnych armatek służących za obiegową monetę. Mosiężne armatki są nie tylko wykładnikiem bogactwa, ale potrafią także wyrzucić porządną strzał na niewielką odległość, jeśli je nabić śmiało aż po koniec lufy. Trudność polegała na tym, aby je wciągnąć na samą górę. Jim pokazał mi miejsce, gdzie przymocował liny, wyjaśnił, jak zmajstrował naprędcę prymitywny kołowrót z pustego pnia obracającego się na zaostrzonym kole, zaznaczył fajką zarysy okopów. Ostatnie sto metrów wejścia na szczyt były najcięższe. Jim oświadczył Doraminowi, że odpowiada własną głową za powodzenie całego planu. Namówił stronników wojny, aby pracowali wytrwale przez całą noc. Wielkie ogniska, zapalone w pewnych odstępach, jaśniały wzdłuż zbocza, „lecz tu na szczycie – objaśniał – oddział wciągający armaty musiał biegać w kółko w ciemności”. Jim widział z góry ludzi pełznących po pochyłości niby mrówki przy pracy. On sam w ciągu tej nocy zbiegał w dół i wspinał się po wzgórzu jak wiewiórka, kierując wszystkim, dodając ludziom ducha, czuwając nad całą linią. Stary Doramin kazał się zanieść w fotelu na wzgórze. Ustawili go na polance w połowie wysokości; siedział tam w blasku jednego z wielkich ognisk.

– Nadzwyczajny starzec – mówił Jim – zupełnie jak jaki wódz pradawny, z tymi swymi dzikimi oczkami; na kolanach trzymał olbrzymie skałkowe pistolety, po prostu wspaniałe: heban oprawny w srebro, z cudownymi kurkami, kalibru starych rusznic. Zdaje się, że to od Steina – w zamian za ten pierścień, pamięta pan. Należały niegdyś do zacnego starego Mac Neila. A skąd on je wytrzasnął, Bóg raczy wiedzieć. Więc... stary siedział nie ruszając ani ręką, ani nogą, zwrócony plecami do ogniska z chrustu, a naokoło niego mnóstwo ludzi biegało, krzyczało i ciągnęło; wyglądał tak uroczyście i imponująco, że trudno to sobie wyobrazić. Nie byłby chyba mógł uciec, gdyby szeryf Ali wypuścił na nas swoją wściekłą bandę i zmusił moich ludzi do ucieczki. W każdym razie Doramin przybył tu, aby umrzeć, gdy by rzeczy się źle obróciły. Nie ma co do tego dwóch zdań! Miły Boże, jakież ja byłem przejęty jego widokiem, tkwił tam jak skała. Lecz szeryf Ali myślał pewnie, żeśmy poszaleli, i ani mu się śniło przyjść i zobaczyć, co tam wyprawiamy. Zdaje mi się, że nawet ci sami ludzie, którzy ciągnęli i pchali, i oblewali się potem, nie wierzyli, aby można było tego dokonać! – jestem pewien, że nie wierzyli, dają panu słowo...

Stał wyprostowany, z dymiącą fajką w ręku, z uśmiechem na ustach, z iskrami w dziecięcych oczach. Siedziałem na pniu u jego stóp, a pod nami rozpościerał się kraj, wielka przestrzeń lasów mrocznych pod słońcem, rozkołysanych jak morze, z połyskami krętych rzek, szarymi plamami wsi i polanką gdzieś tam, jaśniejącą niby wysepka wśród ciemnych fal wierzchołków. Posępna zaduma słała się nad tym rozległym, monotonnym krajobrazem; światło padało nań jakby w przepaść. Ład pożerał słońce; tylko daleko, hen, wzdłuż wybrzeża, pusty ocean, równy i gładki pod nikłą mgłą, zdawał się wznosić ku niemu murem ze stali.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.